Nr. 12. Lwów, Niedziela dnia 21. Marca 1875 r. **Rok II.**



TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie **12** złr. półrocznie **6** złr. kwartalnie **3** złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **8** tal. półrocznie **4** tal. kwartalnie **2** tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie **9** tal. **10** sgr. półrocznie **4** tal. **20** srg. kwartalnie **2** tal. **10** sgr.

LUŹNE UWAGI.

XII.

O „WIECZORACH POD LIPĄ.“

W rozwoju naszym narodowym na polu społecznem i naukowem, w dziedzinie piśmiennictwa i sztuki, napotykamy na przeszkody, z któremi nie ma do walczenia żaden naród, biorący udział czynny w ogólnym postępie ludzkości. Społeczeństwo europejskie, które wytworzyło cywilizację nowożytną na tle staro-rzymskiej, odrodzonej w chrześcijaństwie, dzieli się na dwa odłamy, liczbowo niezmiernie nierówne sobie. Widzimy w niem narody, albo od dawna posiadające zbiorową organizację polityczną, albo też, chociażby w odłamach, wykonujące przez wyszłe z ich łona jednostki, we własnym swoim języku, te wszystkie funkcje zewnętrzne, które są niezbędnemi do utrzymania pełnego życia umysłowego w owych, w moc przyrodzonego prawa jakiegoś istniejących odłamach człowieczeństwa, które nazywamy narodami. Anglja, Francja, Hiszpanja i Portugalja liczą się do pierwszej kategorji; Niemcy i Włochy do drugiej. Każdy z tych krajów w całości lub częściowo ulegał obcej władzy, ale żadnemu z nich nie próbowano wyssać jego soki wewnętrzne, i zastąpić je obcemi. Owe najwięcej w historji powszechnej opłakiwane, długowieczne pognębienie Włoch, ów podział Niemiec na drobne państwa i państewka, nad którym ubolewają historycy teutońscy, wszystko to było tylko naruszeniem zewnętrznej formy istnienia narodu, ale nikt nigdy nie próbował przerobić Włochów na Niemców, ani Niemców na Francuzów, tak jak zdobywcy angielscy nie narzucali Francuzom obcej im narodowości, ani też Hiszpanie nie oktrojowali swojej Portugalczykom. Smutny w tej mierze wyjątek stanowią ludy słowiańskie, chrztem łacińskim i tysiącletnią historją z Zachodem pobratane, a w nowszych czasach pozbawione bytu państwowego i oddane pod obcą władzę polityczną. Tym zdobywcy i ujarzmiciele, odbierają już nietylko powierzchowne i tem samem może mniej ważne znamiona odrębności, ale nadto, usiłują w arterje ich i pulsa wlać soki obce, i niejako fizjologicznie przerobić te organiczne wytwory naturalnego wyrostu świata, na jestestwa z gruntu różne i odmienne. Los ten spotyka Łużycan, Czechów i Polaków, ale w miarę, jak większą jest siła odporna każdego z tych narodów, rośnie także energja środków, przedsiębranych ku ich pognębieniu. Teoretyczne to twierdzenie poprzeć możemy przykładem, wziętym z dzisiejszych naszych stosunków narodowych i społecznych.

Oto Czesi n. p. numerycznie i przedewszystkiem jeograficznie w gorszem nierównie są położeniu od Polaków. Tradycje ich państwowe i polityczne od dawna zrosły się nie do poznania z niemieckiemi. Rzut oka na mapę Europy wystarcza, ażeby pomyśleć, iż garstka tak mała, zewsząd okolona obcym żywiołem, jest jakoby straconym posterunkiem w wielkiej walce ras, której widownią jest Europa. Pomimo tego niekorzystnego położenia, któż dziś zabroni Czechom, w szkołach utrzymywanych w całości lub po części ich własnym kosztem, uczyć młodzież czeską, że kiedyś Sławój jako mąż krzepki, zwycięzko walczył z Ludiekiem, że Ottokar był groźniejszym mocarzem od hrabi Rudolfa z Habsburgu, i że jeszcze za czasów Żyżki, straszne ramię gromiło teutońskich nad Wełtawą gości? W każdej szkole ludowej, w każdej szkole średniej w królestwie czeskiem i w margrabstwie morawskiem wolno obznajamiać młodzież z temi niezaprzeczonemi faktami historycznemi, a tem samem, wolno młodym umysłom z nauki dziejów rodzinnych czerpać ów hart niezłomny, który jedynie zdolnym jest zrobić zwierzę dwunożne, człowiekiem i obywatelem.

Zaglądnijmy teraz do Polski liczebnie i lokalnie, tj. jeograficznie, silniejszej od Czechów. Nie mówmy o zaborze moskiewskim, gdzie Mongoły kuszą się o to, by rozprzestrzenić granice Azji po Kalisz i po Toruń. Nie mówmy o zaborze pruskim, gdzie rasa temperamentem, charakterem, uzdolnieniem i wadami od ciemiężonych tak różna, dotychczas jeszcze nie przyszła do przekonania, że walka z prawami odwiecznego porządku rzeczy ludzkich jest i będzie bezskuteczną. Zastanówmy się tylko nad objawami tej dziejowej i społecznej walki, które spostrzegamy w państwie, piszącem na tarczy swojej herbowej wielkomyślne godło: *Viribus unitis.*

Viribus unitis! To znaczy, że ile jest plemion i szczepów w monarchji podległej berłu domu lotaryngskiego, wszystkie mają zjednoczyć swoje siły ku potędze i blaskowi państwa. Gdzież są siły tych plemion i szczepów? Czy w ich liczbie głów i materjalnej możności? Bynajmniej. O „mieć“ tutaj nie chodzi, chodzi o „chcieć.“ Ażeby chcieć rozwinąć ową siłę, która ma zestrzelić się w jedno ognisko z innemi, potrzeba się do niej poczuwać. Ażeby zaś lud poczuł się do swojej siły, ażeby chciał ją rozwinąć, i ażeby ona spłynęła się w jeden utrzymawczy i potężny prąd z innemi, różnorodnemi, lud ten musi mieć możność wychowywania się po swojemu, obudzenia w sobie szlachetnych, wielkich instynktów, odżywienia się wspomnieniami dawnych czynów i dawnej chwały.

Szkot w imię swoich Wallasów, co walczyli z Anglją, Prusak w imię Frydryka II. co rozbił państwo niemieckie, Norman w imię przodków, którym Paryż haracz opłacał, walczą o wielkość Brytanji, Niemiec, Francji. Jedni tylko polscy poddani monarchy noszącego koronę Rudolfów i Maksymiljanów wyrzec się mają narodowej swojej tradycji, pozbyć się wspomnień najbardziej podnoszących ich ducha, ażeby mogli być lojalną cząstką całości nie spojonej niczem, oprócz owego godła: *Viribus unitis.*

Z tego powodu, wykluczenie od użytku w szkołach i w księgozbiorach nawet szkolnych, książek opowiadających młodzieży historję jej narodu w sposób żywy i ciepły, jak np. „Wieczory pod Lipą“ albo dzieło H. Schmitta, uważane z wyższego stanowiska pedagogicznego, wielkim jest błędem. Wychowanie powinno dawać państwu obywateli, a nie automatów. Wychowanie w szkołach publicznych, nadto, nie powinno stawać w opozycji z duchem panującym w wykształconych warstwach narodu, nie powinno przybierać pozoru, jakoby było skierowa-

nem przeciw najpiękniejszym i najszlachetniejszym uczuciom, żywionym na łonie rodzin. Powinno ono owszem korzystając z istnienia tych uczuć, rozwijać je dalej, utwierdzać i kształcić ku pożytkowi sprawy publicznej. Państwu zaś, złożonemu z różnych narodowości, tylko takie wszechstronne rozwijanie uczucia obywatelskiego, za pomocą prawdziwej nauki historji, zastąpić może brak jednolitości szczepowej i naturalnej spójni, opartej na wspólnem pochodzeniu, wspólnej tradycji i wspólnej mowie.

BYLE WYŻEJ!

Powieść

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

II.

(Ciąg dalszy.)

Za to najstarszy syn Jan całkiem zadowalniał dumę ojcowską. Był to chłopak zdolny, energiczny a przy tem pełen chęci wyniesienia się. Mało wprawdzie pokazywał serca i przywiązania do rodziny, był zimny, wyrachowany, małomówny i jak mówili ludzie, źle mu z oczów patrzało; ale zaślepiony ojciec nie widział tego wszystkiego; jego cieszyło, że Jan celował w klasie, że przebywał w towarzystwie pańskich synów, że go tam zapraszano i lubiono; chętnie mówił o tem, że syn jego bywa po hrabskich domach i z dumą powtarzał: — O! ten chłopak wyjdzie na ludzi; będzie pan z niego całą gębą.— Toteż nie było ofiary, którejby nie zrobił był dla swego ulubionego; niczego mu nie odmówił nigdy, pomagał mu, ile tylko mógł. Jan dość chłodno i obojętnie przyjmował te oznaki miłości rodzicielskiej, (jeżeli to uczucie, którego motorem była próżność, można nazwać miłością) nie jako dobrodziejstwo i łaskę, ale jako rzecz, która mu się należała. Samolubna natura umiała zużytkować wszystko i wszystkich dla siebie, nie dając w zamian nic, nawet wdzięczności. Ojciec nie wymagał tego; jemu wystarczało to, że syn biednego rzemieślnika przewyższył dzieci najbogatszych nauką, że tą nauką zdobędzie sobie wysokie stanowisko a przez to podniesie całą rodzinę i rósł radością i dumą na myśl, że kiedyś z łaski tego syna będzie mógł z góry patrzeć na tych, którzy teraz go poniewierają, depcą i prześladują.

W czasie kiedy się nasza powieść zaczyna, Jan ukończył już prawo i pracował od lat paru w biurze jednego z pierwszych adwokatów. Ojciec już mieszkał wtedy w mieście i prowadził warstat publicznie pomimo, że nie był majstrem. Nowa bowiem ustawa przemysłowa z roku 1859, uwolniła rzemieślników od uciążliwej przewagi cechów i pozwalała prowadzić rzemiosło za patentem. Mało który z rzemieślników ośmielił się skorzystać z tej ustawy, która naruszała prawa i powagę cechów, i długie lata jeszcze potem ustawa istniała tylko na papierze. Dyl był jednak jednym z pierwszych, który chwycił się nowego porządku rzeczy, był on dla niego deską ratunku, wyzwalał go z pod zależności Dawida Mendla i zabezpieczał przed zawiścią cechu. Jak tryumfator po długich latach walki, która go tyle kosztowała zdrowia i zgryzot, wprowadził się znowu do miasta i na złość i urągowisko cechom wystawił nad drzwiami kamieniczki, w której zamieszkał, szyld z napisem dużemi literami: fabryka wyrobów stolarskich Jędrzeja Dylskiego. Zmianę nazwiska zrobił przez wzgląd na swoje dzieci; osądził, że nie przystałoby przyszłym panom nazywać się Dylami. To zdradzałoby chłopskie pochodzenie, którego chciał się wyprzeć zupełnie. Zamazał więc i ten ślad za sobą. Cechowi jednak z dumą patrzali na niego, nazywali go wtrętem, partaczem; czeladź uważała sobie za ubliżenie pracować w jego warstacie i żaden z majstrów z nim nie żył. Nawet pan Baryłkiewicz pomimo, że mieszkał w jego sąsiedztwie, pomimo, że córka jego przyjaźniła się z córką Dylskiego, traktował go z góry i protekcjonalnie, nie bywał u niego i nigdy w publicznem miejscu, czy to w piwiarni czy na miodzie nie przyznawał się do jego znajomości. Dylski drwił sobie z tego, a przynajmniej udawał, że go to mało obchodziło, znosił to upokorzenie spokojnie w nadziei, że się kiedyś sowicie za nie odpłaci, a gdy mu nieraz zarzucano, że majsterja jego nic nie warta, że ją sobie kupił a nie zapracował, że nie zrobił majstersztyku, odpowiadał z zarozumiałością:

— Zrobiłem ja majstersztyk, na jaki się z was żaden nie zdobędzie, bo wychowałem moje dzieci. To mi prawdziwy majstersztyk dać taką edukację. I tego dokazał prosty czeladnik, podczas gdy niejednego majstra dzieci biegają boso po ulicy i czytać nie umieją. Przyjdzie jeszcze do tego, że razem z waszemi cechami skapiecie marnie i wyjdziecie na dziadów, a my pójdziemy górą.

Tą wróżbą ciągle w twarz rzucał swoim nieprzyjaciołom, pogardę, jakiej od nich doznawał, płacił im w dwójnasób lekceważeniem i hardością, ufny w swoje powodzenie. Teraz już nie wątpił, że przebywszy tyle kłopotów i przeciwności dobije już do portu szczęśliwie. Ale zawiódł się w oczekiwaniu: wytrwałość jego miała być jeszcze narażoną na ciężkie próby, tem cięższe, że przychodziły tak niespodziewanie i to z tamtąd, zkąd zdawało się uśmiechać mu samo szczęście. Nowa ustawa przemysłowa, którą Dylski uważał za źródło swojej pomyślności i tryumfu, miała także swoje ciemne strony, które z czasem więcej się uwydatniły, otwierając bowiem szerokie pole konkurencji, obniżyła wartość produkcji, fabryki zasypały magazyny mebli swojemi wyrobami, przez co coraz mniej potrzebowano wyrobów warstatowych lub płacono za nie nadzwyczaj mało. Do tego jeszcze czeladnicy, którzy dotąd pracowali w warstacie Dylskiego, teraz przy zwolniałym rygorze ustaw cechowych poczęli także pracować na własną rękę, czego im nowa ustawa wcale nie wzbraniała. Tak więc ostrze miecza zwróciło się przeciw niemu samemu. Warstat jego począł upadać, roboty było coraz mniej, — Dawid Mendel sprowadzał wiedeńskie meble, a Dylskiemu ofiarowywał tylko same reparacje i to za lichem wynagrodzeniem. I to właśnie wtedy dochody jego tak nagle umniejszać się zaczęły, kiedy ich najwięcej potrzebował. Młodszy syn bowiem ukończył już gimnazjum i potrzeba mu było większej zapomogi, aby mógł przejść na wydział medyczny, bo i opłata była znaczna i zajęcia tutaj było tyle, że o zarabianiu lekcjami na własne utrzymanie myśleć nie można było. Starszy syn znowu zapadł na oczy i to tak niebezpiecznie, że doktorzy zapowiadali mu zupełną utratę wzroku, jeżeli się na czas dłuższy nie wstrzyma od wszelkiej pracy. Musiał więc porzucić miejsce u adwokata, i leczyć się. Kuracja wlekła się powoli, z bardzo nieznacznym skutkiem. Namawiano go, by pojechał za granicę poradzić się znakomitych okulistów, wyliczano Berlin, Wiedeń, Wiesbaden, gdzie są słynne kliniki okulistyczne; Jan słuchał tych rad, gryząc wargi i marszcząc czoło, w ponurem milczeniu, gdyż brak funduszów nie pozwalał mu z tych rad korzystać i krępował go. Była to dla niego męka straszna, to pasowanie się z chorobą i losem. Obie wrogi potęgie spętały go i powaliły w chwili, gdy chciał wzlatywać w górę. Nie jęczał ani narzekał, ale ponure milczenie jego było straszniejszą skargą niż wszelkie jęki. Ojciec zrozumiał go dobrze, z krótkich i cierpkich odpowiedzi syna, z jego niecierpliwych ruchów odgadnął co tam za burza i zamieć musiały się odbywać w tej młodej piersi pełnej sił spętanych i zgniecionych nadziei, i bolał nad tem a bolał tem więcej, że nie umiał poradzić na to. Duma jego ciężko została ukaraną, upadek groził mu w chwili, gdy spodziewał się, że już dosięgnie szczytu.

III.

Mieszkanie Dylskich odpowiadało ich życiu i usposobieniu; miało ono charakter tymczasowności i zdawało się służyć ku chwilowej potrzebie. Nie było w niem owego ładu i harmonji, któreby z niego zrobiły ognisko domowe, punkt środkowy rodziny. Parę szaf, parę kuferków, stół zarzucony najrozmaitszemi rupieciami i kilka stołków stanowiły prawie całe umeblowanie pokoju. Wykrochmalone spodnice Maryni wisiały to na zawiaskach okien, to na parawaniku, a inne jej drobiazgi leżały porozrzucane tu i owdzie, przygotowane już na jutro; przez co stancja miała pozór taki, jakby kto z niej się wybierał i miał wyjeżdżać. Życie Dylskich było w istocie ciągłem przygotowaniem się do wyjazdu, myśli ich i czynności wychodziły daleko po za granice tego mieszkania i rodzinnego kółka. Tylko kącik, w którym stało łóżko starej Dylskiej, miał trochę ładu i spokoju. Na szczupłej tej przestrzeni cicha kobieta zgromadziła i poukładała starannie kilka pamiątek po wuju. Była tam komódka, antyk prawdziwy, mocno już uszkodzona, a na niej kilka szklanek, wytarta taca, stary zegar, który już dawno iść przestał, i męka pańska z wosku pod szklannym dzwonem. Nad łóżkiem, nakrytem jedwabną ale wypełzniętą kołdrą, wisiało kilka obrazów świętych popstrzonych od much a koło nich koronki z Rzymu, różczka palmowa i gromnica. Kącik ten wyglądał jak kramik antykwarski i dziwnie odbijał od reszty izby. Izbę tę zamieszkiwała Marynia z matką. Dylski sypiał na dole w warstacie na tapczanie. W drugim zaś pokoiku stancji, któ-

rąśmy opisali, mieścili się synowie Dylskiego. Pokoik ten od paru miesięcy miał okno szczelnie zasłonięte z powodu choroby Jana. Piwniczna, stęchła atmosfera panowała tutaj, a chory wśród ciemności wałęsał się z kąta w kąt jak nietoperz.

W chwili kiedy Marynia rozstawszy się z Teklą, weszła na górę, w pierwszej stancji nie było nikogo, tylko lampa naftowa, przyćmiona nieco, paliła się na stole... Na skrzypnięcie drzwi dał się słyszeć z ciemnego pokoiku głos ostry, cierpki:

— Kto tam?

— To ja.

— Przyszłaś przecie.

— Albo co?

— Boście się wszyscy porozłazili, Bóg wie gdzie i po co. Człowiekowi nie ma kto podać co, posłużyć. Niech licho weźmie takie życie.

Dziewczynę mało co obchodziły utyskiwania brata, nie odpowiedziała mu na nie nic i stanąwszy przed małem źwierciadełkiem, poczęła się rozbierać.

— Jest tam na stole jakiś papier. Przyniósł go woźny przed chwilą, zobacz no. Pewnie wypowiedzenie sądowne mieszkania.

Dziewczyna wzięła papier do ręki i przejrzawszy po rzekła:

— Tak, gospodarz wyrzuca nas z mieszkania. W przeciągu piętnastu dni mamy się wynieść.

— I mówisz to takim tonem, jakby ciebie to nic nie obchodziło. Wszak to i ciebie się tyczy.

— Ja sobie poradzę i znajdę gdzie umieszczenie. Dosyć już nabiedowałam się w domu.

— Tak, wam kobietom o to nie trudno. A szczególniej tobie to bardzo łatwo przyjdzie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała chmurząc czoło i rzuciła bystre, gniewne spojrzenie w ciemny pokój. Ale chory nie dał żadnej odpowiedzi czy dla tego że nie miał odwagi ubrać w słowa swych myśli, czy też uważał tłómaczenie za zbyteczne. Dziewczyna obruszyła się, odwróciła się od niego, i powróciła znowu spojrzeniem do lustra. Zajmowało ją ono bardzo w tej chwili, bo przymierzała właśnie nowy kapelusik przygotowany na jutro. Z upodobaniem przyglądała się, czy jej będzie w nim do twarzy a ta obserwacja tak ją zajęła, że nawet wejście matki, która wróciła z miasta ze sprawunkami, nie przerwało jej tego zajęcia; zdawała się niezważać wcale na przybyłą. Matkę nie zdziwiło to nawet; była do tego przyzwyczajoną, bo w całej rodzinie nie było ściślejszej łączności i ciepła, wszystko chodziło luzem, każde dla siebie, a nawet sam Dylski, którego zabiegów celem właśnie była rodzina, zdawał się więcej dbać i myśleć o interesach, któreby mogły poprawić byt tej rodziny, niż o jej pojedyńczych członkach; w miłości jego rodzicielskiej jeszcze było samolubstwo; chodził koło dzieci jak koło koni wyścigowych, któremi chce się wygrać nagrodę. — Po dziewiątej przyszedł Józef. Jego zachowanie się względem matki było już wcale inne, niż siostry; w przywitaniu ich widać było pewną nić sympatyczną, która ich łączyła a lubo nie objawiało się to przywiązanie tak wyraźnie, jednak w rozmowie ich i obejściu się czuć było, że syn kochał i szanował matkę, a dla matki syn był pociechą. Nim tylko żyła, on był dla niej wszystkiem. Spojrzenie, jakiem ogarnęła wchodzącego, było wymowną spowiedzią tej cichej tajemnicy jej serca, w spojrzeniu tem była miękość, czułość i owa delikatna wrażliwość, która odczuwa najsubtelniejsze odcienia duszy na twarzach ukochanych osób. Staruszka spojrzawszy na syna odgadła zaraz, że wracał w niezwykłym nastroju, ożywiony i rozpromieniony. To ją ucieszyło bardzo, bo nie wiele bywało chwil takich, za mało mieli powodów do wesołości; choć usposobienie Józefa było zawsze pogodne i rozjaśnione, to jednak dzisiaj ta pogoda spotęgowała się i żywszym blaskiem świeciła w oczach. Matka nie mogła powstrzymać się, by go nie zapytać o powód tej wesołości:

— Musiało ci się wydarzyć co dobrego — odezwała się cicho — jesteś w dobrym humorze.

— Wracam z koleżeńskiego wieczorku.

— Bawiłeś się dobrze?

— Zebraliśmy się u jednego z naszych kolegów, by się raz jeszcze ubawić razem. Kto wie, gdzie którego los rzuci i kiedy się znowu zobaczymy. Mówiliśmy wiele o naszej przyszłości, układaliśmy plany, co nam robić należy. Kilku nas wystąpiło z projektem, który żywą wywołał rozmowę. Ta rozmowa dodała mi odwagi i otuchy do życia.

— Chwała Bogu! — rzekła matka, która zapatrzona w syna z nabożeństwem i uwagą słuchała słów jego.

— Powziąłem zamiar, który zdaje mi się, że się uda i że nam wszystkim będzie z tem dobrze.

— Cóż to takiego? — spytała z zajęciem.

— Powiem wszystko, skoro ojciec powróci. Chciałbym bardzo, żeby się zgodził na mój projekt, żeby go pochwalił.

— Chcesz może jechać do Kalifornji? — zapytał zimno, szyderczo Jan, który siedząc w ciemnym pokoju przysłuchiwał się tej rozmowie.

— Nie, chcę stworzyć u nas Kalifornję — odrzekł Józef nie zrażony całkiem uszczypliwością brata.

— O! to będzie coś ciekawego. I gdzież odkryliście te miny złote?

— W pracy.

Suchy, gardłowy śmiech wyleciał z ciemnego pokoiku na to słowo; było coś przerażającego, obrzydliwego w tem przeciągłem, szyderczem chichotaniu człowieka, którego widać nie było. Zdawało się że śmiech wychodził z jakiejś ciemnej próżni, jak odgłos kamienia staczającego się w przepaść i skaczącego po skałach — i drgał długo w powietrzu.

— Cóż w tem widzisz tak śmiesznego? — spytał Józef.

— W pracy! — odezwał się z tym samym uśmiechem Jan. — Głupcze, policz te miljony ludzi, którzy targają zdrowie i siły w ciężkiej pracy a żyją w nędzy z dnia na dzień, a nie będziesz się dziwił czego się śmieję. Gdyby praca tylko była drogą do majątku, nędzarze powinniby dziś powozami gardzić.

— Więc cóż daje majątek?

— Co? — szczęście, przypadek, spryt a najczęściej urodzenie. To ostatnie najpewniejsze i najłatwiejsze. Kto chce nędzę wytępić, niech zakaże ubogim żenić się. Ubóstwo z przerażającą szybkością pomnaża proletarjat. Gdybym miał władzę tobym zakazał dawania ślubów biednym, albo bym topił ich dzieci jak szczeniaki.

— Więc i siebie i mnie musiałbyś potopić.

— A czy nie lepiejby było, żeby mnie struli lub utopili nim myśleć zacząłem, niż żebym miał teraz myśleć i męczyć się nad tem, jak żyć i bać się jutra?

— Jasiu! bój się Boga, co ty wygadujesz, to bluźnierstwo — odezwała się matka zgorszona tą mową.

— Kto chce mieć dzieci, powinien mieć na nie, — odezwał się znowu Jan na przekór matce.

— Przepraszam cię; powinien tylko dać im możność pracowania, a oto dzięki Bogu postarali się nasi rodzice. Reszta od nas zależy.

Rozmowę tę, która poczęła już gorączkowy przybierać charakter, przerwało wejście starego Dylskiego. Wszedł pochmurny, zakłopotanie i troska malowały się wyraźnie na jego twarzy. Bardzo często teraz wracał do domu w takim humorze. Najczęściej wtedy żona lub córka były ofiarami takiego zgryźliwego usposobienia, na nie wylewał żółć swoją. Synów zwykle oszczędzał. Tak i teraz się stało. A najprzód zawadzały mu drobiazgi, które Marynia porozkładała na stole i bez ceremonji począł je zrzucać i odsuwać na bok.

— Po djabła te szmaty tutaj — rzekł — nie ma kawałka wolnego miejsca przy stole.

— To moje ubranie — odparła z uporem Marynia stając hardo w obronie swych drobiazgów.

— To schowaj je gdzie w kąt. Wszędzie pełno tych fatałachów. Wy kobiety o niczem więcej myśleć nie umiecie. Byle by się wystroiła, i już kontentna.

— Stroję się, to za swoje.

— Lepiej byś schowała te pieniądze na później, bo kto wie jeszcze co nas czeka.

Usiadł przy stole znużony, skubiąc palcami niespokojnie niegoloną od dawna brodę, (C. d. n.)

O ILUSTRACJACH NASZYCH NARODOWYCH POETÓW.

Napisał

W. J. Wdowiszewski.

(Ciąg dalszy.)

III.

Wdzięczna postać Zosi wywołała kilka ilustracyj. Najwięcej znaną jest „Zosia" Ludwika Straszyńskiego, która wykonana olejno, a następnie odtworzona sztychem rozeszła się po kraju, jako premjum krakowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk pięknych. Artysta utwo-

*

rzywszy „Zosię“ zaledwie dwa małe obrazki raczył potem pokazać publiczności na wystawie w Warszawie i od lat kilku nie spotkałem się z żadnym utworem jego pędzla. Grzech zaniedbywać się, gdy kto ma taki talent i fantazję, jak Straszyński. Kto widział jego zmyślne rysunki brzegowe (Randzeichnungen), ten stratę artysty tem lepiej odczuć potrafi.

Zosia przedstawioną jest w chwili, gdy Tadeusz stojący w oknie:

......Oczy podniósł: tuż na parkanie
Stała młoda dziewczyna. Białe jej ubranie
Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,
Odsłaniając ramiona i łabędzią szyję.
W takiem Litwinka tylko chodzić zwykła z rana,
W takiem nigdy nie bywa od mężczyzn widziana;
Więc choć świadka nie miała, założyła ręce
Na piersiach, przydawając zasłony sukience;
Włos w pukle nierozwity, lecz w węzełki małe
Pokręcony, schowany w drobne strączki białe
Dziwnie ozdabiał głowę. . . . . . .
. . . .
. . . . Zwrócona na pole
Szukała kogoś okiem, daleko, na dole....

Najgłówniejszym zarzutem jaki uczynić można obrazowi artysty, jest ten, że tak Tadeusza jak Zosię przedstawił starszymi aniżeli ich maluje poeta. Tyczy się to szczególniej Tadeusza, który na obrazie prezentuje się jako dojrzały mężczyzna a nie młodzik dwudziestoletni, o którym Telimena mówi:

A Tadeusz? Prostaczek! poczciwy chłopczyna,
Prawie dziecko! raz pierwszy kochać się zaczyna;

a dziewcze stojące na parkanie, choć młode nie jest jednak tą Zosią, o której mówi sędzia, że:

....już pono wyrasta z dziecięcia —

a Telimena czyni nawet uwagę, że zaczyna rok czternasty. Otóż w Zosi Straszyńskiego nie czuć tego podlotka czternastoletniego, ani w wyrazie twarzy, ani w modelowaniu postaci. Pełne i rozwinięte kształty ciała nie należą do Mickiewiczowskiej Zosi, ale do innej przynajmniej ośmnastoletniej panienki*).

---

*) Szanowny autor pozwoli, że do jego uwag nad tą ilustracją, dodam jeszcze słów kilka. Pan Straszyński, jak z jednej strony nie szedł wiernie za autorem w miejscach ważnych, robiąc np. Zosię i Tadeusza starszymi, niż byli w rzeczywistości — tak z drugiej znowu strony, tam, gdzie powinien był zapomnieć o słowach poety, szedł za niemi nadto niewolniczo, czem zaszkodził swojej kompozycji. Mam tu na myśli niefortunne p a p i l o t y. Nie wszystko, co się da napisać, w najwznioślejszej nawet poezji, da się korzystnie przenieść na płótno. Ustępy mniej dodatnie, czytający szybko przebiega, gdy tymczasem widz musi rad nie rad patrzeć na nie dłużej i w ich treść się zagłębiać. Czytający szuka ustępów, które na nim miłe robią wrażenie, a mniej wzniosłe szybko okiem przebiega, mitygując jeszcze w myśli ich obraz; widz natomiast uczynić tego nie może, gdyż chcąc nie chcąc musi brać co i jak mu dadzą. Czy podczas czytania „Pana Tadeusza“ uderzyło którego z nas to, że Zosia miała „włos schowany w drobne strączki białe?“ Mnie nigdy, chociaż nie raz odczytywałem ten ustęp. Gdybym się był natomiast zastanowił nad „temi strączkami“ musiałyby mi się nie podobać, włos bowiem jest główną ozdobą głowy, zwłaszcza głowy młodego dziewczęcia, które podpatrzone niespodziewanie, przedstawia się nam w całej piękności sielskiej. Piękność taką trudno zrozumieć bez pięknych włosów. Dla poety samego nienaturalna ta ozdoba nie była całkiem piękną, bo oto na końcu dodaje, że włos tak schowany „d z i w n i e ozdabiał głowę.“ Tem jednem wyrażeniem d z i w n i e autor „Pana Tadeusza“ zdradza, że taka ozdoba i jemu nie bardzo się podobała. Ilustrator nie zrozumiawszy delikatnej ironji, zawierającej się w tem słowie, wyrysował główkę Zosi w papilotach, czem dalipan zrobił ją komiczną. Z całym spokojem mógł tu p. S. zapomnieć o słowach poety, na czem utwór jego byłby znacznie zyskał. Jeżli malarzom historycznym, którzy są ilustratorami historji, wolno dla piękna poświęcać czasem prawdę historyczną, to stokroć prędzej wolno to ilustratorowi poetów. Takie jest moje zdanie. *Józef Rogosz.*

Tło obrazu przedstawiające ogród i pola prędzej by ujść mogło za krajobraz włoski jak litewski, a choć artysta dosłownie trzymał się opisu poety, nie umiał jednak oddać w tem otoczeniu dworu, tego ducha polskiej okolicy, jaki tak potężnie wieje ze słów narodowego wieszcza. Gdyby obraz artysty nie był ilustracją Zosi Mickiewicza, ale nosił bezpretensjonalną nazwę rodzajowego obrazka, nie sądziłbym go tak surowo i musiał oddać słuszność wyrazistości charakterystyki, poprawności rysunku, starannemu wykonaniu obok piękności kolorytu. „Zosia“ jest wdzięcznym obrazkiem, ale chybioną ilustracją poety.

Lepiej udało się dwóm innym artystom odtworzenie typu Zosi. Tegazzo w Warszawie a Walery Eljasz w Krakowie przedstawili „Z o s i ę“ w chwili gdy:

....w środku, wysoko nad ptąstwem się wznosi,
Sama biała i w białą bieliznę ubrana;
Kręci się, jak bijąca śród kwiatów fontanna;
Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy,
Ręką jak perły białą, gęsty grad perłowy
Krup jęczmiennych. . . . .

Obrazki obydwu artystów są nader wdzięczne, odtworzone z pojęciem i humorem; a jedynie modelowanie ręki Zosi w obrazku Tegazza jest fałszywe, co artysta dowcipkiem widnym w twarzy bohaterki wynagradza sowicie. Tak obrazek Tegazza jak akwarela Eljasza natychmiast znalazły amatorów i znajdują się w rękach prywatnych.

Jeżeli się nie mylę, to także drugą postać kobiecą — Telimenę — odtwarzał Walery Eljasz a nawet fotografje z tego obrazu mają się znajdować w obiegu; ponieważ jednak ani oryginału ani kopji nie widziałem, przeto o „Telimenie idącej na grzybobranie“ sądu wydać nie mogę.

Z kolei rzeczy przechodzę do dwóch innych typów, które sobie szczególnie upodobali artyści. I nic dziwnego, bo to typy na wskróś polskie, a jako dawno zaginione — osobliwie ciekawe. Mówię o Gerwazym i Protazym — klityczniku i woźnym.

W roku 1872 na wystawach we Lwowie i Krakowie zachwycał publiczność obrazek Wilhelma Leopolskiego zatytułowany „P r o t a z y.“ Ocenił go w „Świcie“ przez siebie wydawanym p. Bronisław Zawadzki, a ocenił tak gruntownie i biegle, że nie pozostaje nic innego jak słowa jego powtórzyć: „Arcydziełkiem w swoim rodzaju jest Wilh. Leopolskiego „Protazy.“ Rodzajowy obrazek mistrzowski, choć prawie tak mały jak miniatura. Nie umiem sobie wystawić inaczej tego Mickiewiczowskiego palestranta, kiedy

Wszedł cicho do sieni,
Siadł przy świecy i dobył książeczkę z kieszeni;
. . . .
Była to trybunalska wokanda.

Czupurna zamaszystość i szczerze polska natura tego zaginionego dziś typu, znalazły w p. Leopolskim pełnego intuicji przedstawiciela. Jego Protazy nikomu kroku nie ustąpi — to mu znać z twarzy. A cóż za wyrazistość i prawda w ostrych rysach tej pożółkłej a przecież czerstwej twarzy „ostatniego woźnego trybunału;“ przeszłość tu pochwycona w biegu i zaklęta na płótnie, aby typ tak rdzennie polski nie przepadł w pamięci. Koloryt obrazu jest bardzo sztuczny; oświetlenie aż prawie w odcień pomarańczowy wchodzące, nie ma pomimo tego wstrętnej cechy szukania za niezwykłemi efektami — owszem jest zupełnie naturalne i dobrze wyzyskane.“

Antoni Kozakiewicz, jeden z młodszych artystów, bawiący w Monachium, a który się dał chlubnie poznać „Naukami dziadunia,“ „Powrotem córki“ i „Bez chaty,“ nadesłał na wystawę krakowską w r. 1873 dwa obrazy olejne odpowiadające sobie „Gerwazego“ i „Protazego.“ Oba te typy oddał artysta z przejęciem i nadał im cechę tej polskości i brawury jaką mają w poemacie; nie mogłem jednak dopatrzeć w twarzy Gerwazego wyrazu posępności i surowości, w jaki ją odział poeta; za to obydwie postacie mają cechę energji, a jeżeli „Protazy“ Kozakiewicza nawet po widzeniu „Protazego“ Leopolskiego dobre robi wrażenie, jest to znakiem, że artysta pojął tę postać tak dosadnie, jak jego poprzednik. Rysunkowi nicbym zarzucić nie mógł, ale koloryt mdły i bez ekspresji wielką ujmę czyni obydwu obrazom. Zostały one zakupione przez krakowskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk pięknych i losowaniem przeszły w ręce prywatne. (C. d. n.)

Z WĘDRÓWEK PO ANATOLJI

przez

W. Koszczyca.

(Ciąg dalszy.)

Natura jakby pragnąc wynagrodzić za ten przykry widok, nowe piękności roztoczyła przed nami. Od wsi Ak-su, droga, która blisko godzinę poiła nas widokiem lśniącej toni morskiej, z szeroko rozpiętym nad nią namiotem błękitu niebios, nagle pomknęła w czarne i chropawe czeluście wąskiej doliny, w kierunku z północy na południe. Bystra i płytka rzeka Ak-su, była doskonałym wizerunkiem charakteru wschodniego, któremu chciwość nie pozwala zagłębiać się w sumieniu. Właśnie mieliśmy przykład tego, gdyśmy omijali ostatnie ogrody orzechowe.

W orszaku naszym znajdował się Grek, którego wzrok iskrzący pożądliwie latał po czarnych żebrach skał, coraz groźniej piętrzących się po nad naszemi głowami, szukając w tym widoku wcale odmiennych wrażeń od naszych. Orzechy trafiały przedewszystkiem do jego serca.

— Skończyły się orzechy, skończyły? — pytał pośpiesznie.

— Widocznie musisz być wielkim amatorem orzechów, że się tak troszczysz o nie? — wtrącił kapitan.

— Tak, tak, bo to towar jak złoto! — dodał cmokając uśmiechnięty Greczyn.

— Masz rację; przy tureckiej mądrości i waszym sprycie ogrody te stały się prawdziwemi kopalniami złota. Dla pouczenia, może posłuchasz ciekawej historyjki, której niezawodnie nie odmówisz pobudek... patrjotycznych. Słuchaj więc: Przed kilku laty mieliśmy wielki nieurodzaj na orzechy, zkąd powstała ogólna nędza pomiędzy drobniejszymi właścicielami ogrodów. Bieda zapanowała szczególnie pomiędzy Turkami — i patrz jak twoi współwyznawcy potrafili ją wyzyskać na swoją korzyść. W liczbie dotkniętych klęską nieurodzaju, znajdował się pewien aga, właściciel ogrodu, którego wartość wynosiła kilkanaście tysięcy piastrów; ale nieszczęście chciało, że nigdzie na tę hipotekę nic dostać nie mógł. Śmierć głodowa groziła nie tylko jemu, ale i całej jego rodzinie. Owóż idąc ulicą w Kierasundzie, ujrzał na wystawie u zna-

jomego kupca chrześcjanina pieczoną głowę baranią. Pieczyste uśmiechało się do głodnego; wszedł więc aga do przyjaciela i prosił o odstąpienie mu na kredyt tego przysmaku, za co musiał podpisać po długich targach kwit na „medżydję“ (2 złr.) z procentem 10 par (5 ct.) co tygodnia. Minęło lat kilka i aga zapomniał zupełnie o swoim długu, mając z kupcem ciągłe rachunki; aż na raz zjawia się pozew płatniczy na kwit powyższy. Aga osłupiał ze zdziwienia i nie wierzył oczom swoim, widząc w nim sumę niemal równającą się wartości jego ogrodu; w kwicie bowiem nie dopatrzył, że procent liczył się od procentu. Dłużnik niefortunny rzucał się w prawo i w lewo, ale koniec końców ogród przeszedł na własność wierzyciela. Gotówki i dobytku żaden Turek nie odda za dług gjaurowi, ziemia uprawna dla wierzyciela nic nie warta, ale ogród orzechowy to prawdziwa kopalnia złota.... Barani łeb i wiele szczęścia — zwykle to zdarzenia i wcale wygodne. Spodziewam się, że i u ciebie łatwoby się one znalazły w danym razie — hę?!

— Waj! waj! a jakżebyśmy inaczej odebrali naszą ojczyznę! — zakończył Grek złośliwie uśmiechając się i rzucając wzrok pogardy na Turków, którzy całej rozmowy nie rozumieli, gdyż się toczyła po francusku.

Jak widzimy, ciekawa pod niejednym względem ojczyzna orzechów tureckich (findik) zasługuje, by o niej nieco pomówić. Leży ona dokoła Kierasundy i zajmuje przestrzeni kilka mil kwadratowych. Orzechy te nigdzie więcej się nie udają, z wyjątkiem kilku miejsc w Hiszpanji. Ogrody dają ogromny dochód właścicielom, bez kosztów i trudów; potrzeba bowiem tylko przesadzać co lat dziesięć krzaki leszczynowe, a zbiór wypada uważać raczej za rozrywkę jak za istotną pracę; poczem orzechy wymłacają się z łupin, bijąc kijami po worach. Średni dochód z jednego krzaku wynosi 2 złr. Cała ludność Kierasundy i kilku przyległych miasteczek oddaje się wyłącznemu handlowi orzechami, a chociaż ani sieje ani orze, powodzi jej się nierównie lepiej niżeli ptakom niebieskim lub wiewiórkom leśnym. Łatwość z jaką zarabiają na życie wyrobiła w nich niesłychane niedbalstwo, w chodzeniu około tego cennego produktu. Zbierają go bowiem tak źle, że dziesiąta część zostaje na drzewie i ziemi, a gdy przychodzi do ładugi na statki, wory mokną często po kilka dni na wybrzeżu morskiem, czemu zawdzięczamy w Europie owe mnóstwo zgniłych i zbutwiałych orzechów tureckich, spotykanych po najlepszych nawet handlach.

Co jednym płacz innym radość przynosi. Bo gdy znikły orzechy, wyrywając ciche westchnienie z piersi Greczyna, wdarliśmy się nagle pomiędzy najdzikszą i najfantastyczniejszą przyrodę, na widok której dech zamierał z zachwytu. Znikł pejzaż z piętnem swojskiem, natomiast wystąpiło piękno w olbrzymich zarysach, z mnogością niespodzianek, i wionęło ku nam tajemniczem słowem, zawartem w dzikich widokach natury.

Mroczyło się w oczach od głazów, zuchwale piętrzących się w koło, a pokrytych dębami i bukami; po nad niemi gdzie niegdzie strzelały gór szczyty, osłonięte płaszczem ciemnozielonych lasów szpilkowych i owiane lekką mgłą, z poza której w południowo-zachodnim kierunku wyglądał ku nam Czał-Dah w całun śniegu owinięty. Rzeka w szalonym pędzie rozbijając swe wody, tworzyła śnieżnej białości kłęby i wstęgi, rozpryskujące się o czarne skały, podobne do igrających łbów delfinów. Po nad tą ciemną i burzliwą szczeliną, uśmiechał się w górze łagodnie i poważnie, pełen blasku południowej godziny, strop niebieski—jak jasny spokój epopei wszechświatowej po nad mrocznym ruchem dramatu życiowego. Spokój w górze mówił, że najwięcej mu się podobają — burza i zamęt na dole, w rytm ujęte...

Któż nie przyzna, że podróż w znajomem towarzystwie najprzyjemniej upływa? Prócz ludzi przeto wypada nam zaznajomić się ze wszystkiem, co nas otaczało.

W prawo i w lewo, na południowy-wschód i zachód piętrzyły się przed nami olbrzymie grzbiety gór. W pierwszym kierunku mieliśmy Czał-Dah, a w drugim kierunku Kara-Tasz, odnogę gór Armeńskich, wychodzącą z węzła Cigana-Dah. Czał-Dah strzelając ostrosłupem, śniegiem pokryty, z poszarpanemi bokami jak i cała nasza dolina," powiadał w sędziwem zamyśleniu, że ojcem jego był ogień wulkaniczny. Kara-Tasz natomiast, wzdymający ku niebiosom gruby kark lasem najeżony, jak olbrzymi grzbiet słonia przedpotopowego, zapewniał: że matką jego fala morska. Ogień i woda wycisnęły każde swoje piętno, dając świadectwo pracy żywiołów, którym na początku stworzenia ziemia wydaną została. Natchniona wyobraźnia wschodnia uzmysłowiła ten akt mitem, podług którego ogień jest ojcem — ducha, a woda rodzicielką — gliny, człowieka.

Niezawodnie i w tej rewelacji musi leżeć jakaś prawda życiowa. Gdyśmy bowiem zaczęli coraz dalej zagłębiać się w dolinę po naszej karkołomnej drożynie, nietylko sami ocknęliśmy się z zamyślenia, lecz i nasze zwierzęta nasrożyły uszy. Duch widocznie poruszył nami na widok swej dawniejszej pracy i zarazem nakazywał ostrożniej siedzieć w siodłach. I dobrze się stało, w niektórych bowiem miejscach mieliśmy drogę tak wąską, że w połowie wisieliśmy nad przepaścią. Tutejsi mieszkańcy, jakkolwiek wcale nie wybredni co do dróg, gdyż nie znają innej podróży prócz konnej lub pieszej, uznali przecież tę, którą myśmy teraz jechali, za wielce niebezpieczną, ponieważ karawany wielbłądów nigdy po niej nie chodzą i wolą nakładać kilka dni do Ordu, byle ją wyminąć. Niektóre zwłaszcza miejsca były szczególniej niebezpieczne, gdzie skały z dołu wyszczerbione były w dodatku popękane. Trąbka kapitańska ostrzegała nas o tych niespodziankach na głównej drodze cesarskiej, wiodącej do portu....

Właśnie usłyszeliśmy głos jej, gdy przed nami ukazał się w pomroce zawieszony w powietrzu łuk biały. Był to olbrzymi most, rzucony bez filarów z jednego brzegu na drugi. Pył wodny, unoszący się nad nim, mienił się wstęgami tęczowemi, tworząc cudowne zjawisko, przypominające owe świetlane barwiste dusze, które osładzają najtrudniejsze przeprawy w życiu człowieka.

Byliśmy strasznie znużeni gdyż słońce miało się już ku zachodowi. Tem goręcej pragnęliśmy więc przeprawić się przez ten El-Syrat*) po za którym jeśli nie prawdziwy raj mahometański uśmiechał się do nas, to przynajmniej nocleg z wypoczynkiem. Ścieżka życia atoli bywa usłaną cierniem i złudzeniem.

Napotkaliśmy właśnie jedno z takich miejsc przed mostem. W załomie skał utworzyła się malutka płaszczyzna, porosła kilku olbrzymiemi bukami i dębami, z po nad których, z pionowej skały okrytej bluszczem, mchem i paprocią, sypały się duże brylantowe krople wody, czystej jak łzy. Widok tego źródła był szczególnie ponętnym dla przecudnej oprawy z białych stalaktytów, wiszących gotycką koronką w powietrzu i poplecionych na kształt wężowych splotów, z których utworzyła się czasza pełna kryształowej wody. Lecz płyn ten tak niewinnie wyglądający — właśnie był siedliskiem zdrady.

— Brak! brak!*) — ozwało się naraz kilka głosów, gdyśmy na chwilę zatrzymali się przed źródłem.

Przestroga ta stosowała się do Tahira-effendego, który skąpany kroplami potu, biegł do wody z wyrazem tantalowej melancholji. Czerwony fez zwisł mu na kołnierz, nos kabłąkowaty takiego samego koloru rozdymał się pragnieniem, a ręce ugalonowane rwały się naprzód namiętnie.

Nie mogliśmy się domyślić, co było w tej wodzie. Turcy dowodzili, że można od niej nie tylko zachorować, lecz skamienieć nawet, czemu nie koniecznie mozna było dać wiarę. Przypuszczając jednak, że Turcy mieli rację, to los Nioby, jaki spotkałby Tahira-effendego, nastręczyłby nam sposobność zbadania wnętrza nowożytnego effendego.

Uznawszy przypuszczenie za fakt, możnaby wziąć młotek geologa i warstewka po warstewce, rozebrać naszego przyjaciela.

Niezawodnie z całego bałwana effendego najlepiej zaprezentowałaby się jego wierzchna skorupa, składająca się z munduru „a la franga“, z fezu i błyszczącej pochwy od szabli. Pod nią byłaby cieniutka warstewka werniksu europejskiego. Dalej następowałyby rodzime pokłady mongolsko-tureckie, grubo poprzerastałe słojami lenistwa i apatji. W piersiach — co w piersiach? Być może że szanowne czytelniczki chciałyby tam znaleźć przynajmniej rubin orjentalny? Niestety zamiast tego klejnotu ujrzałybyście coś nakształt zwykłej gąbki toaletowej.... Dobrawszy się do czaszki lemurskiego pochodzenia, w tylnej jej części, odkrylibyśmy cały skład norymberski, w którym baletniczki i „karagiösy“ (szopki tureckie) rywalizowałyby z wszelkiego rodzaju przysmakami i napojami frenckiemi. W przednich półkulach wielkiego mózgu dostreglibyśmy najwięcej znajomości zwyczajów („adet“) i umiejętności „selamowej“ (kłaniania się), polegającej na uginaniu karku do ziemi i potakiwaniu wszystkiemu, co starszy mówi lub rozkazuje; trochę gramatyki francuskiej i urywki z tłumaczenia Telemaka albo Robinsona, w środku zaś tego wszystkiego skrystalizowany punkt „ailiku“ (pensji) w koło którego wszystko się obraca. Możemy zaręczyć z góry, że prócz wymienionych przymiotów, zresztą bardzo mało albo nic nie znalazłoby się w każdym pseudo cywilizowanym Turku, ozdobionym niby to nabytkami wiedzy europejskiej.

Pomimo korzyści, jakie niezaprzeczenie odniosłaby nauka z powyższego przeobrażenia Tahira-effendego, cieszyliśmy się prawdziwie, że

*) El-Syrat — most po którym dusze mahometańskie muszą przeprawiać się do swojego raju. Przeprawa ta wszakże nie należy do najłatwiejszych most bowiem jest cieńszym od ostrza brzytwy.

*) Brak! — wykrzyknik, oznaczający: porzuć, daj pokój itd.

ono do skutku nie przyszło; najpierw nie straciliśmy przyjaciela, powtóre mogliśmy dalej bez przerwy naszą podróż odbywać, a nakoniec, chociaż to może nie zbyt korzystnie mówiłoby o naszem sercu, wypada nam się przyznać, że baliśmy się zbytku wrażeń, które co krok wstrząsały nami.

Wzruszenie to zwłaszcza dało się silniej uczuć tuż za źródłem, gdyśmy spuszczali się ku mostowi. Szerokość drogi w tem miejscu była właśnie taką, jakiej potrzeba na stoczenie się z koniem w przepaść huczącą.... Nie zagłębiając się dalej nad skutkami możebnego spadnięcia na dno Ak-su, możemy tylko dodać, że suma wstrząśnień nerwowych, była u nas ogromną w chwili gdy konie i muły zestawiwszy wszystkie cztery nogi razem spuszczały się po tym śliskim rąbku skały. Fantazja wschodnia najczęściej bujająca z pieca na łeb, chyba jedna mogłaby dać dokładne wyobrażenie o tej naszej konnej ślizgawce.

Naturalnie, że zimny i praktyczny rozsądek p. nadinżyniera musiał wzdrygnąć się na coś podobnego. Jakoż wkrótce ujrzeliśmy go zsiadającego z konia i usiłującego spuścić się w sposób naturalny, nie uciekając się do żadnych ekstrawagancyj wschodnich. Ale pozytywizm jego nie wytrzymał próby na pierwszym kroku; zaledwie bowiem naprzód postąpił, usiadł ku wielkiej naszej uciesze.... Koniec końców, musiał i on spuścić się konno jak i inni. Podziwiając zręczność naszych wierzchowców, musieliśmy wszyscy zgodzić się na to: że o ile przemysł ludzki zacofał się na Wschodzie, o tyle wyprzedziła go zmyślność zwierząt, w porównaniu do naszych. (C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Rozdział II.

(Epizod z wojny amerykańskiej r. 1865. — Inżynier Cyrus Smith. — Gedeon Spilett. — Murzyn Nab. — Pencroff marynarz. — Młody Harbert. — Niespodziewany projekt. — Schadzka o godzinie dziesiątej wieczorem. — Wyjazd wśród burzy).

Ludzie, których orkan wyrzucił na to wybrzeże, nie byli ani aeronautami z zawodu, ani miłośnikami wypraw napowietrznych. Byli to jeńcy wojenni, którzy natchnieni odwagą umknęli z niewoli wśród okoliczności nadzwyczajnych i wyjątkowych. Sto razy wystawieni byli na śmierć niechybną! Sto razy powinien był balon pęknięty pogrążyć ich w otchłań morską! Ale niebo ocaliło ich na cele nieznane, i umknąwszy z miasta Richmond, oblężonego przez wojska jenerała Ulyssesa Granta, znaleźli się nagle 20. marca o siedm tysięcy mil oddalonymi od stolicy Wirginji, najgłówniejszej twierdzy separatystów, podczas straszliwej wojny amerykańskiej r. 1865. Żegluga ich napowietrzna trwała dni pięć.

Ucieczka tych jeńców, zakończona wyż opisaną katastrofą, przyszła do skutku wśród następujących dziwnych i ciekawych okoliczności.

Tegoż samego roku 1865 w lutym, podczas jednej z owych bezowocnych wypraw przedsiębranych przez jenerała Granta w celu opanowania Richmondu, kilku z jego oficerów dostawszy się do niewoli, zostało uwięzionymi w temże mieście. Jeden z nich, wyszczególniający się pomiędzy innymi i należący do sztabu wojsk sfederowanych, zwał się Cyrus Smith.

Cyrus Smith, rodem z Massachussets, był inżynierem, mężem pierwszorzędnej nauki; rząd federalny poruczył mu w czasie wojny nadzór i kierownictwo nad kolejami żelaznemi, którym przypadło tak ważne zadanie strategiczne. Był to typ Amerykanina północnego, chudy, kościsty, sucherlawy, liczył około 45 lat, miał włosy i zarost krótko podstrzyżone i już szpakowate, i nosił tylko pełny, gęsty wąs. Głowa jego piękna i pełna wyrazu była z rzędu t. z. „numizmatycznych", które zdają się być stworzone na to, ażeby figurować na medalach; posiadał oczy ogniste, wyraz ust surowy i poważny i twarz taką, jaką posiadają zazwyczaj uczeni wojskowi. Był to jeden z tych inżynierów, którzy chcieli rozpocząć swój zawód od młotka i kilofa*), podobni owym bohaterom, którzy rozpoczynali swoją karjerę wojskową od prostego żołnierza. Genjalność umysłu łączył z niepospolitą zręcznością mechaniczną. Ramię jego odznaczało się rzadką jędrnością muskułów. Był on prawdziwym mężem czynu zarówno jak i człowiekiem myślącym, działał bez natężenia, party żywą przedsiębiorczością swego ducha, i energiczną wytrwałością, gotową stanąć do walki z wszelkiemi przeciwnościami. Obok głębokich i wszechstronnych wiadomości, posiadał wielką praktyczność, był to, jak powiadają, człowiek, który wszędzie i zawsze „da sobie radę". Miał usposobienie godne pozazdroszczenia. W każdej okoliczności był zawsze panem siebie i łączył w sobie w najwyższym stopniu owe trzy warunki wszelkiej energji: rzutkość umysłu i ciała, gwałtowność żądz i potęgę woli. Mógł słusznie powiedzieć że hasło jego było to samo, co Wilhelma z Oranji w XVII. wieku: „Do działania nie trzeba mi nadziei, ani powodzenia do wytrwania".

Cyrus Smith był zarazem wcielonem męstwem. Brał udział we wszystkich bitwach wojny secesjonistów z unjonistami. Wstąpiwszy najpierw w szeregi ochotnicze unionistów pod wodzą jenerała Granta, walczył pod Paducah, Belmont, Pittsburg-Landing, przy oblężeniu Koryntu, pod Port-Gibson, nad Czarną Rzeką, pod Chatta-Noga, pod Wilderness, zawsze mężnie jak żołnierz godny swojego jenerała, który zwykł był mawiać: „nie liczę nigdy moich trupów!" I sto razy powinien był Cyrus Smith znaleźć się w liczbie tych, których „nie liczył" groźny Grant, ale we wszystkich tych walkach, pomimo że wcale się nie oszczędzał, sprzyjało mu szczęście, aż do chwili, kiedy ranny dostał się do niewoli w bitwie pod Richmondem.

Przy tej samej sposobności i tego samego dnia, co Cyrus Smith, wpadł w niewolę południowców także drugi znakomity człowiek. Był nim nikt inny, jak czcigodny Gedeon Spilett, „korespondent" dziennika *New-York-Herald*, wysłany do śledzenia przebiegu wojny wśród wojsk armji północnej.

Gedeon Spilett należał do rzędu owych godnych podziwu korespondentów pism angielskich i amerykańskich, z rodzaju takich Stanley'ów i jemu podobnych, którzy nie cofną się przed niczem, gdy chodzi o uzyskanie wiadomości wiernych i prawdziwych i doniesienie takowych swemu dziennikowi w jaknajkrótszej osnowie. Dzienniki Unji amerykańskiej, tego rodzaju co *New-York-Herald* stanowią prawdziwe potęgi a wysłannicy ich są osobistościami, z któremi liczyć się musi każdy. Gedeon Spilett był jednym z takich wysłanników pierwszorzędnego stopnia.

Był to mąż wielkich zasług, energiczny, zręczny, gotów na wszystko, pełny pomysłów, bywalec który przebiegł świat cały, żołnierz i artysta zarazem, skory do rady, raźny w czynie, nie dbały na trudy, ani na mozoły ani niebezpieczeństwa, gdy szło o to, ażeby się o wszystkiem dowiedzieć, naprzód dla siebie a potem dla swego dziennika, prawdziwy bohater w ciekawości, w wywiadach, we wszystkiem, co nieznane, niewiadome, niemożliwe, jeden z tych nieustraszonych spostrzegaczy, którzy piszą spokojnie wśród gradu kul, spisują „notatki" wśród kartaczy, dla których każde niebezpieczeństwo jest „pożądaną okazją".

I on też brał udział we wszystkich bitwach, zawsze na przedzie, z rewolwerem w jednej ręce, z notatkami w drugiej, a wśród huku armat nie zadrżał mu ołówek w ręku. Nie trudził nigdy naprożno drutów telegraficznych, jak to czynią ci, którzy mówią wtedy gdy nic nie mają do powiedzenia, ale każda jego wiadomość, krótka, treściwa i jasna, rzucała nowe światło na jakąś ważną okoliczność. Zresztą nie brakło mu nigdy ani dobrego humoru ani konceptu. On to podczas bitwy nad Czarną Rzeką, aby nie stracić pierwszego miejsca przy kratkach biura telegraficznego, i módz najpierw donieść swojemu dziennikowi o wyniku bitwy, telegrafował przez całe dwie godziny pierwsze rozdziały biblji. Koncept ten kosztował *New-York Herald'a* dwa tysiące dolarów, ale za to *New-York-Herald* miał pierwszy wiadomość.

Gedeon Spilett był wzrostu słusznego. Liczył najwięcej lat czterdzieści. Blond faworyty wpadające w kolor rudawy okalały twarz jego. Wzrok miał łagodny, szybki, bystry, latający. Był to wzrok człowieka jednym rzutem ogarniającego wszystkie szczegóły na widnokręgu. Będąc silnie zbudowany, zahartował się pod wpływem rozmaitych klimatów, jak sztaba stalowa w zimnej wodzie.

Gedeon Spilett piastował już od lat dziesięciu urząd korespondenta *New-York-Herald'a*, wzbogacając to pismo swojemi doniesieniami i rysunkami, równie bowiem zręcznie władał ołówkiem jak piórem. W chwili, gdy został wzięty do niewoli pracował właśnie nad opisem i zdjęciem planu bitwy. Ostatnie słowa nakreślone w jego notatkach były: „Jeden z południowców bierze mnie na cel i...." I chybił Gedeona Spilleta, który, swoim zwyczajem, i z tych opałów wyszedł zupełnie bez szwanku.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett, znani sobie nawzajem chyba z reputacji, zostali obaj odwiezieni do Richmond. Inżynier ozdrowiał szybko ze swej rany i właśnie w czasie swej rekonwalescencji zapoznał się z korespondentem. Ci dwaj ludzie podobali się sobie nawzajem i powzięli dla siebie szacunek. Wkrótce ożywiała ich obu jedna tylko myśl, jeden cel: wydobyć się z niewoli, połączyć się z armją Granta i walczyć nadal w jego szeregach za jedność federalną.

Obaj Amerykanie postanowili zatem korzystać z każdej sposobności do ucieczki; lecz chociażby im nawet pozostawiono zupełną wolność w obrębie samego miasta, to jednak Richmond tak ściśle strzeżony był dokoła, że ucieczka mu-

*) Drąg żelazny do łupania kamieni.

siała się wydać każdemu istnem niepodobieństwem.

W tym stanie rzeczy przybył Cyrusowi niespodziewanie nowy sprzymierzeniec w osobie sługi, który duszą i ciałem był mu oddany. Tym zuchem był pewien murzyn, zrodzony w posiadłościach inżyniera, z ojca i matki niewolników, któremu jednak Cyrus Smith, hołdując rozumem i sercem zasadzie zniesienia niewoli, od dawna darował był wolność. Niewolnik, choć wolność uzyskał, nie chciał mimo to porzucić swego pana. Kochał go tak, że z radością byłby dał życie za niego. Był to chłopak lat trzydziestu, dziarski, obrotny, zręczny, inteligentny, łagodny i spokojny, czasem naiwny, zawsze uśmiechnięty, usłużny i poczciwy. Zwał się Nabuchodonozor, lubił jednak żeby nań wołano skróconym i poufałym sposobem: „Nab".

Otóż Nab, dowiedziawszy się że pan jego dostał się do niewoli, bezzwłocznie opuścił Massachussets, przybył pod Richmond i tu podstępem i zręcznością, naraziwszy swe życie najmniej dwadzieścia razy, potrafił wcisnąć się do oblężonego miasta. Chcieć opisać obopólną radość Cyrusa, gdy ujrzał niespodzianie wiernego sługę, i Naba, gdy odszukał swego pana, byłoby niepodobieństwem.

Lecz chociaż udało się Nabowi wkręcić do Richmondu, to jednak o wiele trudniej było wydobyć się ztamtąd, gdyż jeńców federalnych bacznem strzeżono okiem. Tylko nadzwyczajny jakiś wypadek mógł nastręczyć sposobność do ucieczki połączoną z pewnem prawdopodobieństwem powodzenia, a sposobność taka nie tylko nie przychodziła sama ale i sprowadzić ją było nie łatwo.

Tymczasem Grant nie zaprzestawał swych strategicznych operacyj. Zwycięstwo pod Petersburgiem drogo go kosztowało. Siły jego połączone z silami Butlera nie osięgnęły dotychczas pod Richmond żadnego rezultatu i nic nie zapowiadało naszym jeńcom bliskiego wyswobodzenia. Korespondent, któremu nudna ta niewola nie nastręczała żadnych ciekawych szczegółów dla jego notatek, nie mógł już dłużej wytrzymać. Jedna myśl opanowała go całego: bądź co bądź wydobyć się z Richmond. Kilkakrotnie nawet próbował szczęścia, lecz każdym razem wstrzymywały go nieprzełamane trudności.

Tymczasem oblężenie trwało dalej, i jeśli jeńcy nasi wzdychali tylko do tego, ażeby ucieczką połączyć się z armją Granta, to i między oblężonymi byli tacy, którzy niemniej radzi by byli wydobyć się z miasta, ażeby połączyć się z armją separatystów, a między tymi niejaki Jonatan Forster, zapalony południowiec. I w istocie tak samo jeńcy federalni jak i federaliści nie mogli opuścić miasta opasanego w koło przez armję północną. Gubernator Richmondu od dawna już nie mógł się znosić z jenerałem Lee a rzeczą najwyższej wagi było zawiadomić tegoż o położeniu w jakiem znajdowało się miasto, ażeby przyspieszyć odsiecz. Otóż wyż pomieniony Jonatan Forster wpadł był na myśl wzbić się w powietrze balonem, przelecieć tym sposobem linje wojsk oblężonych i dostać się do obozu separatystów.

Gubernator zezwolił na ten projekt. Sporządzono balon i oddano go do dyspozycji Jonatana Forstera, któremu pięciu innych jeszcze zuchów miało towarzyszyć w tej napowietrznej wyprawie. Balon zaopatrzono bronią, na wypadek gdyby lądując byli zmuszeni bronić się i żywnością, na wypadek, gdyby ich podróż napowietrzna miała się nieco przedłużyć.

Czas wyjazdu naznaczono na dzień 18go marca. Miało się to stać w nocy, przy średnim wietrze północno-zachodnim, a aeronauci spodziewali się w kilka godzin przybyć do kwatery jenerała Lee.

Lecz ten wiatr północno-zachodni nie był wcale zwyczajnym wiatrem. Już od 18. marca uważano, że się zmienia w orkan. Wkrótce burza wzmogła się do tego stopnia, że wyjazd Forstera musiał być odroczonym, niepodobna bowiem było narażać balon i jego załogę na wściekłość rozpasanych żywiołów.

Balon, napełniony gazem, czekał na głównym placu miejskim, gotów odlecieć każdej chwili, gdyby się wicher nieco uspokoił a całe miasto niecierpliwiło się, widząc, że stan powietrza nie zmienia się wcale.

Upłynął 18 i 19 marca a burza nie uspakajała się ani na chwilę. Z trudnością nawet zdołano ochronić od zniszczenia balon, przymocowany do ziemi, którym wiatry morskie wściekle targały.

Minęła noc z 19 na 20 marca, ale nad ranem orkan z większą jeszcze wybuchnął wściekłością. Wyjazd był niemożliwy.

Dnia tego zaczepił Cyrusa Smitha na jednej z ulic Richmondu człowiek jakiś zupełnie mu nieznany. Był to marynarz, nazwiskiem Pencroff, w wieku od 35 do 40 lat, silnie zbudowany, mocno ogorzały, z żywemi, ustawicznie mrugającemi oczyma, ale z poczciwym wyrazem twarzy. Ten Pencroff był z urodzenia północnym Amerykaninem, przepłynął wszystkie morza na całej kuli ziemskiej i doznał najdziwniejszych przygód, jakie kiedykolwiek spotkać mogą istotę dwunożną bez pierza. Niepotrzeba dodawać, że była to natura w wysokim stopniu przedsiębiorcza, gotowa na wszystko a której nigdy nic nie zdołało wprawić w zdziwienie. Pencroff na początku owego roku udał się był do Richmond w interesach, w towarzystwie młodego chłopca, nazwiskiem Harbert Brown, rodem z New-Iersey, syna swojego kapitana sieroty, którego kochał jak własnego syna. Nie mogąc wyjechać przed rozpoczęciem oblężenia, ujrzał się nagle zamkniętym w mieście, ku wielkiemu swemu niezadowoleniu i w tem położeniu przepełniała go także całego ta jedna myśl: wymknąć się jakim bądź sposobem. Inżyniera Cyrusa Smitha znał ze słychu. Wiedział jak niecierpliwie ten śmiały człowiek targał więzy swojej niewoli. Otóż dnia tego postanowił porozumieć się z nim i spotkawszy go zagadnął bez wstępu:

— Jakże, panie Smith, czy sprzykrzyło się już panu bardzo w Richmond?

Inżynjer zmierzył bystro człowieka, który tak do niego przemówił, a ten zniżając głos, dodał:

— Panie Smith, chcesz pan uciekać?

— A kiedy?... zapytał żywo inżynier i można słusznie twierdzić, że odpowiedź ta wymknęła mu się mimowoli, gdyż nie wybadał jeszcze człowieka, który przemówił do niego.

Lecz zmierzywszy wzrokiem przenikliwym dobroduszną postać marynarza, nie wątpił więcej że ma do czynienia z poczciwym człowiekiem.

— Kto pan jesteś? zapytał krótko.

Pencroff wyjawił mu swoje nazwisko.

— Dobrze, odparł Cyrus Smith, lecz jakiż sposób ucieczki?

— Tym balonem, co tam wisi gnuśnie i wydaje mi się, jak gdyby na nas czekał umyślnie!..

Marynarz nie potrzebował kończyć zdania. Inżynier zrozumiał wszystko z pierwszego słowa. Chwycił Pencroffa pod ramię i zabrał go ze sobą do swego mieszkania.

Tam marynarz rozwinął cały swój projekt w istocie nader prosty. Narażało się tylko życie... a zresztą nic. Prawda, że orkan szalał z największą gwałtownością, ale taki zręczny i śmiały inżynier, jak Cyrus Smith, potrafiłby przecież kierować balonem. Gdyby on znał tę sztukę, on sam, Pencroff, ani chwili by się nie wahał puścić się w drogę — rozumie się z Harbertem. Nie takie on widział burze i nic sobie z żadnej nie robił!

Cyrus Smith słuchał marynarza w milczeniu, ale wzrok jego pałał. Trafiała się więc sposobność a Cyrus Smith nie zwykł był opuszczać podobnej. Projekt był wprawdzie bardzo niebezpieczny, mimo to był wykonalny. W nocy, pomimo najczujniejszej straży, można było podkraść się pod balon, wślizgnąć do łódki a potem odciąć liny, które go do ziemi wiązały. Prawda że można zostać zabitym, lecz może się także i udać, a gdyby nie ta burza... Lecz gdyby nie ta burza, balon byłby już odleciał, a tak gorąco oczekiwana sposobność do ucieczki byłaby się w tej chwili nie trafiała!

— Nie jestem sam!... rzekł kończąc swe rozmyślania Cyrus Smith.

— Ileż osób chcesz pan zabrać ze sobą? zapytał marynarz.

— Dwie: mego przyjaciela Spiletta i sługę Naba.

— Razem trzy — odparł Pencroff — a ze mną i z Harbertem pięć. Balon miał zabrać sześć...

— Więc jedziemy! — rzekł Cyrus Smith.

To słówko „my" tyczyło się także korespondenta, ale korespondent nie należał do ludzi, którzy cofają się od podobnych przedsięwzięć i zaledwie mu ten projekt przedłożono, przystał od razu bez namysłu. Co go dziwiło, to że myśl taka prosta jemu samemu nie przyszła dotąd do głowy. Co się tyczy Naba, to ten szedł wszędzie, dokąd się panu jego podobało.

— A zatem dziś w wieczór, rzekł Pencroff. Będziemy się przechadzać wszyscy pięciu w tamtej stronie, niby z ciekawości.

— Dziś w wieczór, o godzinie dziesiątej — odparł Cyrus Smith — i dałby Bóg, ażeby się ta burza nie uspokoiła przed naszym wyjazdem!

Pencroff pożegnał inżyniera i powrócił do swego pomieszkania, gdzie zostawił młodego Harberta Brown. Ten śmiały chłopczyna znał plan marynarza i nie bez pewnego niespokoju oczekiwał rezultatu konferencji z inżynierem. Jak więc widzimy, było to pięciu ludzi śmiałych i gotowych na wszystko, którzy postanowili puścić się na losy burzy, wśród wyjącego z pełnej piersi orkanu!

Nie! Huragan nie uspakajał się wcale, i ani Jonatanowi Forsterowi ani towarzyszom jego nie mogło przyjść do głowy narażać się na wściekłość jego w tak kruchej łódce! Dzień był okropny. Inżynier jednego się tylko obawiał, t. j. ażeby balon przymocowany do ziemi a targany wichrem nie pękł w tysiąc kawałków. Przez kilka godzin wałęsał się po placu prawie pustym, nie spuszczając z oka balonu. Tosamo robił Pencroff z przeciwnej strony, z rękami w kieszeniach, poziewając od czasu do czasu,

jak człowiek, który nie wie czem zabić nudny czas — lecz także powątpiewał, czy balon nie pęknie lub czy nie zerwie swych więzów i nie uleci w powietrze.

Nadszedł wieczór. Noc była bardzo ciemna. Gęste wyziewy niby chmury unosiły się ponad ziemią. Padał deszcz ze śniegiem i zimno było przenikliwe. Rodzaj mgły ciężkiej zawisł nad Richmondem. Zdawało się, jakoby burza stała się chwilową rozjemczynią między oblężonymi a oblegającymi i że armaty zawstydzone milczały w obec straszliwych ryków orkanu. Ulice były puste. Zdawało się nawet zbytecznem podczas tak okropnej burzy strzedz placu miejskiego, w pośrodku którego uwiązany do ziemi rozpaczliwie szamotał się balon. Wszystko snać sprzyjało ucieczce jeńców, ależ ta jazda napowietrzna wśród rozhukanych wichrów....

— Przebrzydła chlapawica! — rzekł Pencroff, uderzając z góry pięścią w kapelusz, który wicher zrywał mu z głowy. — Ale ba! przecież postawimy na swojem!

O godzinie w pół do dziesiątej Cyrus Smith i towarzysze jego z rozmaitych stron podkradli się chyłkiem aż na sam plac, pogrążony w zupełnej ciemności, ponieważ oświetlające go lampy gazowe pogasły wszystkie od wiatru. Nie widać było nawet olbrzymiego balonu, który wicher przygniótł aż do samej ziemi. Oprócz worków z balastem złożonych w sieci sznurowej balonu, łódka przytwierdzoną była osobno za pomocą potężnej liny przewleczonej przez kółko utwierdzone w bruku kamiennym, której drugi w dwójnasób złożony koniec przymocowany był do krawędzi łódki.

Jeńcy spotkali się przy łódce. Nikt ich nie spostrzegł a nawet tak było ciemno, że sami siebie nie widzieli.

W głębokiem milczeniu Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Nab i Harbert wsiedli do łódki, podczas gdy Pencroff na rozkaz inżyniera zdejmował po jednemu worki z balastem. Trwało to chwil kilka, poczem marynarz zajął miejsce w łódce obok swoich towarzyszów.

Balon przytrzymywała jeszcze tylko w dwójnasób złożona lina a Cyrus Smith miał już tylko wydać rozkaz wyjazdu.

Wtem pies jakiś jednym susem wskoczył do łódki. Był to Top, pies inżyniera, który urwawszy się z łańcucha, pobiegł za swoim panem. Cyrus Smith, obawiając się zwiększenia ciężaru, chciał odpędzić biedne zwierzę.

— Ba, jeden więcej! rzekł Pencroff i wyrzucił z łódki dwa worki z balastem.

Następnie popuścił linę i balon wzniósł się do góry w kierunku ukośnym i znikł w obłokach, potrąciwszy wpierw łódką o dwa kominy, które rozwalił w szalonym swym pędzie.

Orkan rozszalał się wówczas z wściekłą gwałtownością. Dopóki noc trwała, niepodobieństwem było spuszczać się na dół, a gdy dzień zaświtał, gęste mgły zakryły pod niemi ziemię.

W pięć dni później, gdy się rozjaśniło powietrze, ujrzeli nieprzejrzane morze pod sobą a wicher pędził balon z przerażającą szybkością.

Widzieliśmy w poprzednim rozdziale, jakim sposobem z tych pięciu ludzi, którzy 20. marca opuścili Richmond, dnia 24. marca wyrzuconych zostało czterech na puste wybrzeże, sześć tysięcy mil oddalone od ich rodzinnego kraju. *)

A tym, którego stracili, na którego ratunek pospieszyli natychmiast czterej ocaleni rozbitki, był ich przewódzca, inżynier Cyrus Smith!...

(C. d. n.)

*) Dnia 3. kwietnia miasto Richmond popadło w moc jenerała Granta, powstanie separatystów zostało stłumione, jen. Lee cofnął się ku zachodowi a sprawa jedności amerykańskiej odniosła zwycięstwo i tryumf.

Z za więziennej kraty.

Poezje więźnia stanu z r. 1846.

XIII.

Ostatnia pieśń.

Ja się śmieję, ja się śmieję,
Bom pożegnał już nadzieję —
I posłałem po Urszulę
By mi uszyła koszulę
Śmiertelną koszulę!

Czy to później, czyli prędzej
Śmierć przecina pasmo nędzy;
Ja zaś wolę ją uprzedzić,
By rodziców mych odwiedzić —
Rodziców odwiedzić.

Póki słońce mi świeciło,
To i żyć mi dobrze było;
Dziś i płakać już nie mogę
A więc idźmy w czarną drogę
Idźmy w czarną drogę.

I najmilsza mnie odbiegła,
U innego serca legła;
Bywaj że mi, bywaj zdrowa,
Moja trumna już gotowa —
Trumna już gotowa.

Ja się śmieję — ja się śmieję,
Bom pożegnał mą nadzieję;
A choć jeszcze taki młody,
Już ostatnie święcę gody
Już ostatnie gody.

Puhar pieni się w mej dłoni
I godzina moja dzwoni —
Spełniam więc puhar zatruty,
Chwila — a będę rozkuty —
A będę rozkuty.

Ja się śmieję — ja się śmieję,
Bom pożegnał już nadzieję,
Bracia! jeśli chęci szczére,
Zaśpiewajcie: *Dies irae!*
Lubię dies irae!...

PO WOJNIE r. 1831,

część II. pamiętników

Ignacego hr. Komorowskiego.

(*Dokończenie.*)

Pewnego poranku przybył na Podgórze, mój kolega i dawny znajomy Horain z Zatora. Ponieważ, w czasie naszego wpólnego pobytu w korpusie Różyckiego, bardzośmy się zaprzyjaźnili i o wielu a wielu rzeczach nagadali, więc przybył jedynie dla widzenia się ze mną, i namawiania, ażebyśmy razem udali się do Francji.

Projekt ten bardzo mi przypadł do smaku, i gdyby nie to, że byłem związany słowem z moją narzeczoną i zaręczony, byłbym się bez wielkiego namysłu puścił w emigrację, na czem z każdego względu byłbym bardzo dobrze wyszedł; bo i interesa moje finansowe, w niebytności mojej dałyby się były korzystnie dla mnie ułożyć, i nabyłoby się było doświadczenia i wiedzy, która nigdy nikomu nie zawadzi. Nie mając żadnej odpowiedzi na listy, ani z domu ani od narzeczonej, nie mogłem się zdecydować, a że Horain nie chciał i nie mógł zatrzymać się kilka dni dłużej, więc z boleścią musieliśmy się rozstać i nigdy już więcej nie spotkać na tym świecie.

Z Horainem poznałem się w Paryżu, dokąd z bratem w 1823 r. przyjechał.

Matka Horainów, (bo było ich dwóch braci) zamożna wdowa z województwa Płockiego, dawszy synom swoim bardzo przyzwoite wychowanie pod swojem okiem, wyprawiła ich ze łzami, błogosławieństwami, grubemi pieniędzmi i starym kamerdynerem do Paryża.

Starszy z nich, flegmatyk wielki, z bardzo małemi zdolnościami, nie lubił i nie był usposobiony do pracy umysłowej; żył spokojnie z kolegami, zwiedzał ciekawości miasta, chodził na niektóre kursa dla kompanji, których ani rozumiał ani chciał zgłębiać ich znaczenia; do wszystkich przyzwoitych zabaw łatwo się dał namawiać, tak że z całą biernością swego charakteru, był lubiony od wszystkich.

Młodszy zaś, ten o którym tu mowa, zupełnie inny. Liczył on w tenczas lat 19, bardzo przystojny, żywy, ruchliwy, nie mógł na miejscu usiedzieć. Co moment traciliśmy go z oczu. Zapisawszy się na kurs prawny, zabrał zaraz znajomości z Francuzami, i bardzo mało nam się udzielał, dając za powód i słuszny poniekąd, że przyjechawszy do Francji dla kształcenia się, woli żyć w towarzystwie francuskiem. Coraz też nabierał więcej elegancji w ruchach i biegłości w języku francuskim. Brat przyzwyczajony do jego oddalania się z naszego towarzystwa, nie dziwił się że nawet po parę, a nawet po kilka dni nie pokazywał się w domu, dając za ekskuzę że z nowymi kolegami robi małe po okolicach wycieczki. Chociaż z natury bardzo wesoły w towarzystwie, miał nadzwyczaj wiele w sobie samoistności, i nigdy nie szedł za niczyją radą, tylko za własnem natchnieniem lub przekonaniem.

W kilka miesięcy po przybyciu Horainów do Paryża ocknął się brat starszy, że już młodszego od trzech tygodni nie widział. Zaniepokoiła ta wiadomość wszystkich znajomych, ale ponieważ często się oddalał, i wracał po kilku dniach niebytności, więc postanowiliśmy czekać jeszcze dni kilka, nim się jakieś kroki do odszukania go przedsięwezmą. Minęło kilka tygodni, a gdy się nie pokazał, zaczęto się na serjo obawiać jakiego smutnego wypadku. Zaczęliśmy na samprzód dowiadywać się w szkole prawa od jego kolegów, co się z nim stało; nikt o niczem nie wiedział. Udano się do prefektury policji, i do posła rossyjskiego, żeby porobił kroki w celu wynalezienia go. Wszystko bezskutecznie! Brat szczerze zmartwiony, zawiadomił matkę o tym smutnym wypadku, a ona sama do Paryża przyleciała, zabawiła parę miesięcy, nie żałowała ani pracy ani kosztów na wyśledzenie syna. Odjechała z żalem i pewnością że przepadł niezawodnie.

Blisko w rok po tem, gdym się już wybierał opuścić Paryż, chciałem jeszcze przez kilka dni zwiedzić miejsca, w których tyle przyjemnych chwil przebyłem. W jednej z tych wycieczek, idąc zamyślony jedną z głównych ulic lasku Boulońskiego, spotykam nos w nos zgubionego Horaina, podającego rękę, starszej znacznie od niego, ale zawsze jeszcze bardzo pięknej pani, bardzo wytwornie i elegancko ubranej. Zmięszał się, gdy mnie ujrzał, udając że nie poznaje, szepnął coś towarzyszce do ucha, i w tym momencie szybko wskoczyli oboje do idącego za nimi bardzo ładnego eleganckiego powozu; furman zaciął konie, które wielkim kłusem ruszyły w stronę St. Cloud.

Poleciałem zaraz wyszukać brata, i tę po-

myślną wiadomość mu zwiastować. Zastałem go w bardzo przykrem położeniu, bo kamerdyner co z niemi przyjechał i przy którym były ich pieniądze, zabrawszy one uciekł, i zostawił starszego Horaina na łasce gospodarza domu. Młodszy znowu ani znaku życia o sobie rodzinie nie dawał. Jak wybuchła rewolucja 1820 lipcowa, walczył na ulicach Paryża, lekko ranny, został dekorowany: nakoniec dowiedziawszy się o powstaniu w Warszawie, przybył natychmiast do kraju. Matki już nie zastał, ale objąwszy z bratem majątek, czynny brał udział w całym ówczesnym ruchu, przyczynił się znacznie do zorganizowania pułku 19. piechoty płockiej, w której był kapitanem, poźniej, jak to już mówiłem, dostał się do korpusu generała Różyckiego, a gdy i ten, chociaż ostatni wprawdzie w koronie, schronić się musiał na ziemię galicyjską, wyrzekłszy się wszystkiego, puścił się w świat. Walczył w Algerji i Hiszpanji, nakoniec, zmęczony trudami, spalony słońcem afrykańskiem, ciężko ranny wrócił do Paryża, gdzie około roku 1840 życie swe awanturnicze zakończył.

Kto była, i jak się nazywała ta pani, co go do siebie przywiązała, nigdy nie chciał mówić, ani jakie go węzły z nią łączyły. To tylko niezawodna, że bardzo wielkiego i różnostronnego nabył wykształcenia podróżując po całej prawie Europie w jej towarzystwie.

Na pożegnanie, zjedliśmy śniadanie u Gansbergera i wypili parę butelek szampana. Obywatel, co wywoził Horaina, fundował; po czem siadłszy na stojącą obok bryczkę pojechali.

Idąc z tamtąd do domu spotkałem nie zwykłe zbiegowisko na placu, i dowiedziałem się że Austrjacy wiozą z Zatora 8 dział naszych, które Moskalom wydali. Bolesne to było uczucie dla nas, cośmy tym działom w różnych wyprawach towarzyszyli. Odprowadziliśmy one ponuro do mostu, za którym moskiewska artylerja konie swoje zaprzęgła, i wkrótce zniknęły w zakrętach ulic Krakowa.

Ten wypadek, chociaż naturalny w swoim następstwie wszystkich zasmucił. Wszyscy porozchodzili się po kwaterach i przez cały już wieczór, nikogo prawie na ulicach nie było.

W parę dni potem, przyszedł do mnie płatnik rezerwowego szwadronu legji nadwiślańskiej i prosił żebym się do niego udał. Bielański, obywatel z rzeszowskiego, dawny wojskowy, wielkiej poczciwości człowiek, wstąpił od początku formacji tejże legji w jej szeregi; a że zdrowie nie pozwalało mu znosić trudów frontowych, został płatnikiem. Z niewielką kasą, której święcie pilnował, dostał się szczęśliwie na Podgórze. Jakem do niego przyszedł, pokazał mi ile ma gotówki, pokazał rachunki, jako byłemu dowódcy tego szwadronu, najsumienniejsze, i prosił ażebym mu pomógł do wyszukania i spisania oficerów i szeregowych tego pułku, dla rozdzielenia między nich pozostałości. Na drugi dzień też uczyniłem zadosyć jego żądaniu; po obrachunku pokazało się, że kasa wystarczy na wypłatę przytomnym trzymiesięcznego żołdu. Rozdawszy, zakwitowaliśmy go wszyscy, a on wtenczas spokojny na sumieniu wyjechał z panem Rudzkim do Kolbuszowy, gdzie zazwyczaj przebywał.

Już też i kończył się czas przepisany na kwarantanę, dano nam znać o tem, i zaraz komisarz baron Heniger zaczął wydawać paszporta do powrotu. Ruch wielki zrobił się na Podgórzu, szukano sposobów opuszczenia go, i zaczęto dopiero prawdziwie po polsku, myśleć, jak i gdzie ma się niejeden udać, co ani własnych koni ani domu w Galicji nie posiadał. Wielkie w tym względzie ułatwienia robili okoliczni, i nawet odleglejsi obywatele, tak że w kilka dni mało już kto na Podgórzu został; największa część ciągnęła do Lwowa, po rady, pieniądze, które tam ze wszech stron przybywały, nakoniec w celu oporządzenia się, i dostania do wschodniej części Galicji, tego zamożnego i gościnnego kraju, który z otwartemi rękoma, przyjął emigrantów z Wołynia i Podola; niektórzy z tych weteranów do dzisiejszego dnia tam goszczą, połączywszy się węzłami ścisłemi z rodzinami tego kraju, lub stawszy się użytecznymi, w rozmaitym względzie tamtejszemu towarzystwu. Ja, Żółtowski i Jabłonowski którzy obydwaj mieli bryczki i konie, przybrawszy jeszcze dwóch innych do naszego towarzystwa, zaraz Podgórze opuściliśmy. Jechało się *à petites journée*, bo i ciężko było i nic tak bardzo nie wabiło do domów, po tak smutno skończonej kampanji; każdy odwlekał chwilę opowiadań swoim, bardzo wiele mających uroku, jeżeli są wesołe — bardzo mało, jeżeli tylko o niepowodzeniach i wewnętrznych rosterkach mówić potrzeba. Z czasem pozapominało się i o trudach wojennych i o położeniu jakie ciężyło po większej części na emigrantach z Polski i zabranych prowincji pod ciężkiem Rossji panowaniem, bawiono się po domach szlacheckich, kochano się, umizgano i mniej więcej żeniono. Na Podolu oprócz domów prywatnych były kąpiele Konopkówka założone gustownie i urządzone bardzo wygodnie przez barona Konopkę, człowieka majętnego — o trzy mile od Tarnopola. Wody tamtejsze liche, ale budynek wystawiony w guście klasztoru z piętrem, dużemi salami do zabawy i balów urządzonemi, oraz łazienkami bardzo wygodnemi. Paręset osób tam się mieściło swobodnie i wygodnie, w towarzystwie tamtejszych obywateli, płci obojej; zdawało się, że ten stan nigdy nie ustanie, nareszcie przerwał się z zaczętem prześladowaniem emigrantów, pobudzonem częścią z ich własnej winy, częścią przez intrygi Rossji, która nasyłała swoich szpiegów i agentów a wreszcie przez przekupstwo tutejszych urzędników... Zaczęło się prześladowanie i że tak powiem polowanie na emigrantów! Jednych wydawano Moskalom, drugich wywożono do Ameryki, a nie wielkiej tylko liczbie udało się za wstawieniem się i poręką obywateli, pozostać na jakiś czas w Galicji.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

Rozdział IV.

(Ciąg dalszy.)

Od strony ogrodu przybudowana była do zamku weranda, psująca wprawdzie na oko jego architektoniczną harmonję, ale natomiast podczas upałów letnich, wabiąca nader miłym cieniem i chłodem. Tu odbywał swoje posiedzenia „klub rymiszowski," złożony z p. Tadeusza i ze wspomnianych właśnie dwóch członków. Porządek czynności był następujący. Najpierw stawiano „na stole Izby" wnioski prezydjalne, złożone z trzech potężnych niemieckich kuflów z przykrywkami, jakie można widzieć w piwiarniach na staroświecki sposób urządzonych, jakoteż ogromny dzban kamienny, zawierający świeżo utoczone piwo. Członkowie klubu zasiadali następnie, a raczej rozpierali się wygodnie w ogromnych fotelach, zawsze w jednym i tym samym porządku i na tem samem miejscu. Wszczynała się dyskusja, do której dostarczały wątku dzienniki, nowiny przywiezione z okolicy przez dr. Chimerskiego, lub nakoniec anegdoty i facecje, których ks. Chyżycki mianowicie posiadał skarb niewyczerpany. Czasem wytaczano także kwestje naukowe, literackie i społeczne, a gdy wreszcie porządek dzienny był wyczerpany, regulamin przepisywał jeszcze sześć robrów wista i trzy kufle piwa, tudzież filiżankę czarnej kawy jako obowiązki, od których żaden członek uchylić się nie mógł. Tak było od lat sześciu i każdy klubista przyzwyczaił się był oczekiwać posiedzenia jako jedynej przyjemności i nagrody, która go czekała po trudach i kłopotach dziennych. Przybycie obcych gości pożądanem wprawdzie było od czasu do czasu, psuło jednakowoż porządek zwykły, ożywiało dyskusję w sposób irytujący i nieparlamentarny, zmuszało do powtarzania rzeczy od dawna już omówionych i wszechstronnie rozważonych, do słuchania wywodów nieraz nudnych i niezgodnych z zasadami klubu, których słyszeliśmy próbkę, gdy po raz pierwszy mieliśmy sposobność poznać p. Zameckiego na wieczorku u p. Podwalskiej. Po każdej takiej burzy „klub" oddychał swobodnie dopiero, gdy się znalazł w małym swoim komplecie, jakkolwiek oddawna już uchwalono, że powiększenie tego kompletu jest niezbędnem, choćby tylko ze względu na anegdoty i dykteryjki, w znacznej już części potrzebujące nowych słuchaczów. Dr. Chimerski wyjaśnił pani Helenie, wraz z innemi szczegółami, to opłakane położenie „klubu," przewidującego chwilę, w której mógłby być zmuszonym powtarzać się i słuchać sam siebie na nowo. Z tego też powodu, biorąc kufel do ręki, wniósł wotum zaufania dla prezesa, który dbały o dobro ogólne, w tak piękny i miły sposób postarał się o wzrost klubu.

— Wątpię wszakże — odparła pani Helena — bym mogła w tak poważnem zebraniu odegrać inną rolę, jak tylko rolę publiczności, umieszczonej na galerjach. Najpierw, nie potrafię pić piwa....

— Picie piwa nie jest obowiązkowem, ale pożytecznem. Jest to napój niezmiernie hygjeniczny, i chroniący od katarów żołądka.

— Najniewinniejszy motor dobrego humoru, dodał ks. Chyżycki.

— I najsilniejsza podstawa społeczeństw i państw, — dokończył p. Tadeusz. — W tej mierze, miło mi zakomunikować klubowi uwagi mojego przyjaciela i szwagra, Skryptowicza, który jakkolwiek oddalony, duchem bierze udział w naszych czynnościach i dążeniach, ilekroć oczywiście wstanie z łóżka, co mu się wydarza sto cztery razy do roku, licząc po dwa razy na tydzień. Otóż głęboko śpiący ten myśliciel, nie wiem czy we śnie, czy na jawie, utworzył nowy a oryginalny wcale pogląd na historję państw i narodów europejskich, a wszczególności, na nasze dzieje. Utrzymuje on, iż przodkowie nasi w najdawniejszych czasach raczyli się piwem, a tylko przy nadzwyczajnych sposobnościach, miodem. Jeszcze za czasów Zygmunta III. przeważało piwo lub przynajmniej walczyło równemi siłami z winem węgierskiem, wprowadzonem głównie przez Zapolskich i Batorych. Na dowód, przytacza on Starowolskiego, według którego piwo częstochowskie w końcu XVI. i w początku XVII. stulecia miało takąś ławę iż wywożone było za granicę tak, jak teraz bawarskie albo pilznieńskie; chmiel zaś

z Polesia słynął jako najlepszy na całą Europę. To też, jak długo piliśmy piwo, duch obywatelski miał u nas przewagę nad kierunkami indywidualnemi, a państwo konsolidowało się i wzrastało. Piwiarze dali się ująć w karby posłuszeństwa Łokietkowi i Kazimierzowi Wielkiemu, piwiarze za czasów Jadwigi przeprowadzili unję z Litwą, a jeżeli w tych dawnych czasach razi nas, za Zygmunta Starego, wrzawa kokoszej wojny, Skryptowicz przypisuje to tej okoliczności, iż na Rusi wino rozpowszechniło się było bardziej, niż w innych okolicach kraju. Z wina poszły liberum veto, zrywanie sejmów, konfederacje i rokosze, z piwa statut wiślicki, bitwa pod Grunwaldem, i unja lubelska.

— Przy pomocy miodu, zauważył ks. Chyżycki. Osobliwie pod Grunwaldem, musiała panować wielka równowaga napojów. Czynności prawodawcze, przyznaję to, najlepiej odbywają się przy piwie.

— P. Skryptowicz jest genjalnym historjozofem — zawołał dr. Chimerski. — W istocie, Niemcy i Anglicy, którzy najwięcej piją piwa, odznaczają się karnością i duchem obywatelskim. Wnoszę, ażebyśmy p. Skryptowicza przez aklamację mianowali członkiem korespondującym naszego klubu!

W tej chwili, drzwi parapetowe od sali, przylegającej do werandy, otwarły się, i pojawił się w nich nie kto inny, jak tylko sam p. Skryptowicz. Trudno opisać zdumienie i zadowolenie, jakie z powodu tego zjawiska zapanowało na twarzach członków klubu. Przedewszystkiem dano ogólny wyraz pierwszemu z tych uczuć, snadniej można bowiem było widzieć wieloryba wśród piasków Sahary, albo spotkać się z karawaną wielbłądów w kraju Franciszka - Józefa, aniżeli oglądać p. Skryptowicza w dzień, w takiej odległości od miasta. Po serdecznem przywitaniu i po dłuższej rozmowie nad nadzwyczajnością tego zdarzenia, które p. Skryptowicz tłumaczył nieprzepartą jakąś i nagle w nim rozbudzoną chęcią odświeżenia się powietrzem wiejskiem, postawiono czwarty kufel na stole i posiedzenie „klubu," przerwane na chwilę, poszło dalej zwykłym trybem. Nawiązano na nowo nić rozmowy tam, gdzie ją zostawiono, p. Skryptowicz rozwijał szerokie swoje teorje i popierał je nowemi dowodami, zwracając między innemi uwagę zgromadzenia na to, że mamy w języku naszym własny wyraz na „piwo," i że o człowieku, który zbyt mocno uraczył się trunkiem, mówimy, że jest „podchmielonym," a więc, sama już filologja podnosi piwo do rzędu tradycyj narodowych. Dr. Chimerski dodawał do tego jako lekarz swoje uwagi o wpływie jadła i napoju na charakter pojedyńczych ludzi i całych narodów, a ks. Chyżycki urozmaicił dyskusję kilkoma zabawnemi facecjami, i tak nieznacznie nadeszła uroczysta chwila rozpoczęcia nieodzownych sześciu robrów wista. W tem ćwiczeniu atoli, p. Skryptowicz odmówił udziału.

— Nie po to jechałem dwanaście mil w pudle pocztowem, abym tu siedział pod szkłem na werandzie przez cały wieczór. Wolę pójść oglądnąć ogród, jeżeli mi go Helena zechce pokazać.

— Owszem, proszę cię, zwłaszcza, że sama zwiedziłam go dopiero raz i to bardzo pobieżnie.

Podczas gdy tedy „klub" prowadził dalej swoje urzędowanie, p. Skryptowicz i Helena puścili się w drogę dobrze utrzymaną grabową aleją i wkrótce znikli z widoku. Szli tak czas jakiś, nie mówiąc prawie do siebie — p. Skryptowicz nie lubił bowiem swojej kuzynki, a ona odpłacała mu to równym brakiem sympatji. Gdy już byli dość daleko od werandy, p. Karol zatrzymał się nagle, zwrócił się ku Helenie i odezwał się sucho:

— Przybyłem tutaj w twoim interesie.

— W moim? odparła, blednąc. Myśl, która ją trapiła tak często, a która dziś ustąpiła była miejsca nowym, spokojnym i miłym wrażeniom, wróciła w tej chwili w formie nieokreślonej, dręczącej obawy. Suchy ton mowy Karola miał w sobie coś odejmującego otuchę, coś sędziowskiego, a wzrok, którym patrzył na nią, był nieznośnie zimny i przenikliwy. A jednak, skoro widocznie szukał sposobności rozmówienia się z nią bez świadków, zamiary jego nie musiały być nieprzyjaznemi. Dla tego też może, chociaż poruszyła się w niej była struna nieugiętego uporu, odgrywająca jak widzieliśmy, taką rolę w jej charakterze, umilkła ona szybko i wziął nad nią górę bezradne pomieszanie. Karol nie zważał na to i zapytał ją swoim zimnym, indagatorskim głosem:

— Dałaś, w pierwszych dniach maja, panu Alfredowi Zgorzelskiemu weksel na pięć tysięcy złr.

— Dałam... ale...

— W sprawach wekslowych nie ma żadnego: „ale."

— Jest, jest ale! Wszak dałam mu później pieniądze na zapłacenie długu! O cóż może chodzić? Co się stało?

— Stało się to, że Zgorzelski nie mogąc spieniężyć wekslu z twoim podpisem, dodał na nim podpis Zameckiego, a co gorsza, jeżeli mu dałaś pieniądze, wyjechał z niemi i wekslu nie wykupił.

— Nikczemnik! Podły nikczemnik! Nie sądziłam nigdy, nigdy, ażeby był zdolnym do t a k i e g o oszustwa! To okropne!

— To nie należy do rzeczy. Kto płaci, powinien żądać zwrotu swojego wekslu.

— Na miłość Boga, gdzież jest ten weksel? Nie dręcz mię, mów, jeżeli masz trochę litości w sercu!

— Dajże mi mówić, i nie przerywaj mi wykrzyknikami odnoszącemi się do charakteru p. Zgorzelskiego, jeżeli masz jakie nowe spostrzeżenia psychologiczne do uczynienia w tej mierze, uczynisz je później, jam ich nie ciekaw. Żyd dowiedziawszy się, żeście wszyscy podpisani na wekslu wyjechali za granicę, gdy przyszedł termin, zgłosił się do mnie. Groził skargą sądową. Chciałem oszczędzić Tadeuszowi ogromnej przykrości, jakąby mu sprawiło to odkrycie. Pojmujesz, że nikt nie lubi, by jego narzeczona na parę tygodni przed ślubem trudniła się negocjacjami finansowemi tego rodzaju, chociażby w towarzystwie tak dystyngowanego kawalera, jak p. Alfred Zgorzelski, i pod osłoną podpisu mężowskiego. Tadeusz zasługuje, ażeby się z nim lepiej obchodzono. Dla tego też, w nadziei, że jest to jedyny ślad twoich stosunków ze Zgorzelskim, wykupiłem ten dokument i mam go u siebie. Tadeusz chciał mi niedawno zwracać jakąś drobną sumę, do której twierdził, że mam prawo, a ponieważ nie chciałem jej przyjąć, więc pół żartem, a pół serjo, zrobił mię współwłaścicielem losu, który później wyciągnięto na wielkiej loterji. Z dziesięciu tysięcy, które mi narzucił tym sposobem, ofiarowałem połowę, ażeby mu zapewnić spokój i trwałość jego — słodkich złudzeń.

— Nie mów tak, nie mów Karolu! Chciej mi wierzyć, że mam silne, niezłomne postanowienie dołożyć wszelkich starań, ażeby ten spokój i ta słodycz, o których mówisz, nie były dla Tadeusza złudzeniem! Ten podpis fatalny, o którym mówisz, wymuszono na mnie w sposób zdradziecki, łotrowski, o jakim może nie masz wyobrażenia. Gdybym była mogła domyślać się, co Zgorzelski zrobi z moim wekslem, byłabym raczej wolała.... Ach, Karolu, miej dla mnie serce brata, i wierz mi, że jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwą; nie jestem w stanie powiedzieć ci, jak dalece nią jestem! Nie prawdaż, Tadeusz nie dowie się od ciebie o niczem?

— To pytanie zbyteczne wobec faktu, że wykupiłem weksel, ażeby się o nim nie dowiedział. Wierzę, że możesz czuć się nieszczęśliwą, i nie mam ani w ogóle zamiłowania w drażnieniu czyichkolwiek stron bolesnych, ani też w szczególności nie upatrzyłem sobie ciebie jako ofiarę cierpkich i przykrych uwag. Powiem ci nawet, że nie byłbym się wcale spieszył donieść ci o tem, co zrobiłem, gdyby nie ta okoliczność, że chciałem ci dać jednę dobrą radę. Oto, moja Heleno, jeżeli masz jeszcze jaką tajemnicę, której odkrycie mogłoby być przykrem Tadeuszowi, nie ociągaj się ani chwili i wyjaw mu ją natychmiast sama. To jedno jest w stanie zapewnić spokój tobie i jemu, to jedno rzucić może wieczną zasłonę na przeszłość, i jej niemiłe wspomnienia, z któremi chciałabyś zerwać.

— Zerwałam z niemi, i powiedziałam Tadeuszowi wszystko. Powiedziałam mu nawet o tem nieszczęsnem zawikłaniu pieniężnem ze Zgorzelskim, i on sam dał mi pieniądze na zapłacenie długów.

— Powiedziałaś mu wszystko? — zapytał p. Karol, którego głos, ociepliwszy się poprzednio na chwilę, przybrał znowu temperaturę podbiegunową.

— Wszystko! Nie mogłabym znieść egzystencji, podtrzymywanej sztucznie ciągłem udawaniem i tajeniem się z myślami i uczuciami.

— I nie masz już żadnej, żadnej tajemnicy między wami?

Helena chciała mówić ale wzrok Karola zamroził jej słowa na ustach. Ruszyła więc tylko ramionami, i odwróciła się obojętnie.

— Ha, kiedy tak — zawołał Karol — to moja misja skończona, wracajmy do klubu! Ma się rozumieć, że gdy uzbierasz nieco pieniędzy na szpilki, zwrócisz mi moich pięć tysięcy, a ja ci wrócę weksel. Nie mogę ci robić tak znacznego prezentu, bo mam dzieci. Rozumiesz ty, co to znaczy, mieć dzieci? Pojmujesz, co to jest, kochać kogoś więcej, niż siebie, niż swoją piękność i niż hołdy świata; a nawet więcej, niż swoją sławę i dobre imię?

— Nie, nie pojmuję — odrzekła krótko i sucho, jak on mówił przedtem. — Co się tyczy pieniędzy, zwrócę ci je wkrótce, Tadeusz obsypuje mię niemi przy każdej stosownej sposobności.

— A więc, Balladyno, wracajmy na zamek grafa Kirkora! — Pan Karol rzucił te słowa żartem, ale w tej chwili już księżyc oświecał tak bladem światłem szpalery ogrodu, i wszystkie przedmioty w koło rysowały się w cieniu tak teatralnie i dekoracyjnie, i Helena z białemi swojemi licami i czarnemi oczyma wyglądała tak dziwnie i niesamowito w tem otoczeniu, że nim jeszcze przebrzmiała aluzja jego poetyczna, pan Skryptowicz uczuł jakiś dreszcz i mimowoli wydało mu się, że słowa jego miały więcej znaczenia, niż zwykły cytat z książki. Co się tyczy Heleny, znała ona lepiej Balzaca i panią Sand, niż Słowackiego, i nie zrozumiała jego tragicznego

porównania. Szli tedy zwolna ku werandzie, on zatopiony w myślach o zagadce psychologicznej, z którą miał do czynienia, ona, zastanawiając się nad tem, dla czego Karol pytał ją, czy nie ma więcej tajemnic, któreby powinna powierzyć Tadeuszowi? Ale nim znaleźli oboje rozwiązanie tych pytań, odwróciła ich uwagę żywa dyskusja między dr. Chimerskim a ks. Chyżyckim, zakończona głośnym wybuchem śmiechu. P. Tadeusz, grając z kołkiem, dał był *szlema* swoim przeciwnikom, w skutek czego doktor zaperzony interpelował proboszcza, dla czego mu nie podegrał *pików?*

— Z bardzo ważnej przyczyny — wołał ksiądz, czerwony od gniewu — z bardzo ważnej!

— Radbym wiedzieć z jakiej! Jak można było nie grać pików! — zarzucał doktor tonem srogiego sędziego, który przekonywa delinkwenta, iż popełnił zbrodnię, zasługującą najmniej na powieszenie.

— Nie można było grać pików — krzyczał proboszcz.

— Należało grać piki! — piorunował doktor, rozprzestrzeniając palce u prawej dłoni, i opierając na pierwszym z nich, wskazujący palec lewej ręki. Giest ten był zwykle wstępem jakiegoś bardzo długiego i przekonywającego wywodu.

— Ależ, oponował proboszcz w rozpaczy, demonstrując obydwoma dłońmi — ależ nie miałem ani jednego piku.

Ten to niezwalczony argument wywołał ową powszechną wesołość całego klubu, do której przyłączyła się natychmiast Helena, jak gdyby chciała przekonać Karola, jak dalece czuje się szczęśliwą i swobodną. Ksiądz wpadł w wyborny humor i przypomniał sobie jeszcze kilka anegdot, osnutych na tle podobnych katastrof wistowych. W ten sposób śmiano się i rozmawiano do kolacji, przy kolacji i późno w noc jeszcze, poczem p. Tadeusz odprowadził Karola do przygotowanego dla niego pokoju, ażeby się mógł wywczasować po trudach podróży dyliżansem odbytej.

— Zbudzisz się zapewne, tak około czwartku, albo piątku?

— O nie, wstaję jutro rano. Wszak pojmujesz, że przyjechałem tu na zwiady? Chcę zobaczyć, jak wam idzie gospodarstwo.

— O, coraz lepiej — odparł Tadeusz. — Cóż tam porabia moja mała?

— Rozwija się w sposób zastanawiający. Nie poznałbyś jej, gdybyś ją zobaczył. Uczy się przytem z wielką ochotą, a wszyscy ją tak polubili, jak gdyby była najmłodszem dzieckiem rodziny. Ciebie wspomina często i cieszy się, gdy się jej powie, że przyjedziesz.

Na poczciwej twarzy p. Tadeusza widać było, że wiadomość ta sprawiała mu przyjemność nie małą. P. Karol nie zmyślał, mała Helenka w istocie przylgnęła była do Zameckiego całą siłą tego instynktu, który pozwala dzieciom odgadywać, kto im sprzyja. Pani Skryptowiczowa i dzieci jej polubiły ją niezmiernie, a dzięki ich staraniom, w krótkim czasie znikły ślady pierwotnego zaniedbania, w jakiem dziecko to chowało się na wsi. Wszystko szło tedy jak najlepiej, i tylko do wielu innych zarzutów, które czyniono p. Skryptowiczowi, przybył ten jeden, że wziął do domu i narzucił własnej żonie „jakieś dziecko,“ Bóg wie zkąd przywiezione. Oficjalnie atoli mówiło się, że Helenka jest sierotą po dalekim kuzynie p. Karola. (C. d. n.)

O naturze i harmonji barw

napisał

Stanisław Kramsztyk.

(Ciąg dalszy.)

Pogląd zatem, że światło białe jest mieszaniną barw widmowych i że barwy, jako części składowe światła, są identyczne ze światłem, są tem samem co światło, nazywa się Newtonową teorją barw. Wprawdzie już na rok przed Newtonem Grimaldi starał się objaśnić podłużną postać obrazu barwnego widmowego przez rozmaitą łamliwość promieni światła za pomocą pryzmatu szklanego, ale nie rozumiał przez to różnej łamliwości wszystkich części składowych światła białego, sądził tylko, że obie strony promienia światła ulegają odmiennemu załamaniu. W tymże samym roku Boyle oświadczył, że barwy przez załamanie powstają ze światła. Atoli Newton zupełnie samodzielnie doszedł do swych odkryć, nie zawdzięczając nic swym poprzednikom; dowiedzionem jest, że, zatopiony w swych genjalnych pomysłach, bardzo mało w owym czasie czytał. Zresztą on tylko ścisłemi rozumowaniami, doświadczeniami i dowodami pogląd swój uzasadnił i przekazał potomności. Niezawodna też, że przy swej sumienności, nie pominąłby zasług obcych, gdyby o nich wiedział, zwłaszcza że nie mogą rzucić cienia na promienistą chwałę, którą ten genjusz potężny wszystkim pokoleniom przyświecać będzie.

Skoro się Newton przekonał, że barwne widmo pryzmatyczne polega na rozszczepianiu światła białego, podał na poparcie swego poglądu doświadczenia tak liczne i tak rozmaite, że jak wykrzyknął zachwycony Algarotti (1726) zdawały się one rosnąć pod rękami Newtona, jak kwiaty wiosenne pod stopami poety.“

Nie poprzestał on na rozszczepieniu, rozdzieleniu światła białego na składowe jego barwy, ale przez połączenie barw rozszczepionych odtwarzał z nich znowu światło białe. Przepuszczał promienie rozszczepione przez soczewkę zbierającą tak, aby się zgromadziły w jednym punkcie i w miejsce obrazu barwnego otrzymał na zasłonie znowu białą, jasną plamę. Wprowadzał pryzmat łamiący i rozszczepiający w żywy ruch wahadłowy, tak że i samo widmo uległo żywemu ruchowi w jednę i drugą stronę i w ten sposób na każde miejsce widma przypadały w każdej chwili wszystkie siedm barw, na każdem miejscu następowało co chwila łączenie się barw pojedyńczych — a obraz barwny znikał i ustępował miejsca smudze białej, bezbarwnej. Puszczał wiązkę promieni rozszczepionych na zwierciadło wklęsłe, które po odbiciu zbierało je w jeden punkt i znowu w miejscu ich połączenia tworzyło się kółko białe. Ustawił siedm zwierciadełek płaskich, rozmaicie pochylonych, tak, aby padające na nie oddzielne barwy widma po odbiciu schodziły się w jednym punkcie na ścianie i znowu w tem miejscu powstawał obraz biały.

Dziś, gdy cała ta rzecz mniej lub więcej znaną już jest całemu ukształconemu ogółowi, gdy żyjemy w czasach, które widzą mnóstwo świetnych odkryć naukowych, trudno wyrobić sobie pojęcie o wrażeniu, jakie wywołała teorja barw, utworzona i uzasadniona przez Newtona. Jego „Optics“ (Londyn 1704) szybko obiegła ówczesny świat naukowy, a prozaicy i poeci, jak Fontenelle, Voltaire, Algarotti, długo pracowali nad rozpowszechnieniem i spopularyzowaniem wiadomości w tem dziele zawartych.

Jakkolwiek przyjazne przyjęcie znalazła nauka Newtona zaraz od swego pojawienia (1666), niemniej nie brakło jej na przeciwnikach, a spor o naturę barw stanowi jeden z ciekawych ustępów historji walk naukowych. Ze współczesnych sobie, uważał Newton za najbardziej uzasadnione zarzuty stawione przez Lucasa z Leodjum (1676), ale je odparł zwycięzko. W sto z górą lat później (1780 i 1784), wystąpił przeciw Newtonowi lekarz i fizyk francuski, Marat, z namiętnością i siłą, jakie w kilka lat później miał sposobność na innem polu w krwawy sposób okazać. W bieżącym znów wieku starał się naukę Newtona odeprzeć Goethe (1810), który i w dziedzinie nauk przyrodzonych kilka istotnych położył zasług. Zdawało im się niedorzecznem, aby światło białe najbezbarwniejsze i najobojętniejsze ze wszystkich świateł, miało być w barwy najbogatsze. Po stronie Goethego stanął też Schoppenhauer (1816), a następnie i Hegel, dziwnie rozżalony na Newtona, jako na najwyższą potęgę w pośród badaczy przyrody, którzy jedni odmawiali wielkiemu idealiście hołdu i uznania, które gdzieindziej tak sowicie znajdował. Zaiste, nie rozumowaniami to filozoficznemi obalić można fakta, sumiennem i umiejętnem badaniem osiągnięte: w obec dowodów, jakieśmy przytoczyli, i innych, których zakres tej pracy zamieścić nie dozwala, żaden człowiek nieuprzedzony przeciw teorji Newtona zarzutu nie stawi.

Siedm, czyli raczej dziesięć barw widmowych, są już barwami jednorodnemi, nierozszczepialnemi. Jeżeli zasłonimy wszystkie barwy oprócz jednej i takową przepuścimy przez drugi pryzmat, to zboczy ona wprawdzie ze swego kierunku, załamie się, ale się już nie rozszczepi, nie rozdzieli na barwy prostsze. Możemy atoli pojedyńcze te barwy łączyć między sobą po dwie, po trzy, w ten sam sposób, jakieśmy je wszystkie łączyli dla otrzymania barwy białej; osiągniemy przez to mięszaniny barw, czyli barwy złożone. I w ten tylko sposób otrzymać możemy czyste barwy złożone, przy mięszaniu bowiem barwników farb, występują wpływy uboczne, o których mówić będziemy następnie, a które silnie zmieniają czystą mięszaninę barw i wydają wynik zgoła inny, niż barwy widmowe wprost łączone. Tak np. przez mięszanie barwnika niebieskiego z żółtym powstaje zieleń, podczas gdy widmowy błękit z barwą żółtą widmową wydają barwę białą. Biała bowiem barwa powstaje nietylko przez połączenie wszystkich dziesięciu barw widmowych, ale i przez różne inne łączenia. Jeżeli połączymy wszystkie barwy widma oprócz jednej, np. niebiesko-zielonej, otrzymamy barwę czerwoną; ta przeto czerwień z ową barwą niebiesko-zieloną wydaje białą, gdyż wtedy będą połączone wszystkie barwy widma. Atoli dla osiągnięcia barwy białej nie konieczna łączyć z barwą niebiesko-zieloną tę czerwień złożoną, może ją zastąpić pojedyńcza, jednorodna czerwień widmowa: połączona z barwą niebiesko-zieloną wydaje ona światło białe. W ogóle, dwie takie barwy, które razem tworzą barwę białą, nazywają się dopełniającemi. Takie barwy dopełniające stanowią według Helmholza: czerwona i zielono-niebieska, pomarańczowa i cjanowo-niebieska (barwa związków cjanu), żółta i błękitna (indygowo-niebieska), zielono-żółta i fjoletowa. Zieleń nie ma barwy dopełniającej jednorodnej; wydaje ona barwę białą w połączeniu

*

z purpurowo-czerwoną (czerwień z fjoletem). To okazuje, że i trzy barwy widmowe wydawać mogą białą, jak w powyższym przykładzie — zieleń, czerwień i fjolet widma. Ciekawa atoli, że i jedna pojedyńcza barwa przy nader silnem natężeniu wydać może barwę białą. Ostatnie to zjawisko tłómaczy Helmholtz na zasadzie teorji Younga przyjmowania wrażeń świetlnych, której przeto słów kilka poświęcić musimy. (C. d. n.)

POGADANKI.

XII.

Po pierwsze: czy ma być wydaną „Antologja poetów polskich?"

Po drugie: kto ma być jej botanicznym kierownikiem?

Po trzecie: czy najmłodszy reprezentant szkoły ukraińskiej, pan X. ma być ujętym w jeden tom, lub też podzielonym na dwa?

Oto są trzy wielkie pytania, które zajmują w tej chwili świat literacki we Lwowie, i zajmować go jeszcze będą długo, póki się cały ten spór nie sprzykrzy Brockhausowi w Lipsku, i póki jego nakładem nie pojawi się dzieło, o którem mowa. Ponieważ zaś kwiaty żywe sprzedają się lepiej od suszonych, więc można być pewnym, że księgarz niemiecki nietylko zrobi dobry wybór między arcydziełami pochodzącemi z różnych okresów naszego piśmiennictwa, ale nadto, że wymierzy on panu X. tę sprawiedliwość, której mu odmawiają ziomkowie, t. j. postawi go przy wiązaniu poetyckiego kwiatosnopu obok równych mu duchów i wraz z niemi — zapomni go w koszu.

Ukraina, jak wiadomo, zamieszkaną była przez kozaków, pomiędzy którymi plątali się „czarnomorcy z mazią skrzypiącą." Tamtych opiewali Malczewski, Zaleski, Goszczyński; pan X. zaś jest wieszczem skrzypiącej mazi, i ztąd pochodzi ta silna woń wiejskiego dziegciu, którą czuć na zebraniach literackich w ostatnich czasach. Samo otworzenie drzwi nie wystarcza do pozbycia się tej natrętnej perfumy, potrzebaby silniejszych środków desinfekcyjnych. Ale bądźmy sprawiedliwymi: gdyby oprócz zapachów róży i fjołka nie było innych, mniej miłych, nie umielibyśmy ocenić tamtych. Dla tego też dobrze będzie, do poetyckiego *millefleurs* dołączyć nieco wyrobów pana X. zwłaszcza gdy woń ich ma być skuteczną od robaków, a w młodszej naszej szkole pisarskiej spotkać się można łatwo z dziecińwstwem, potrzebującem takich hygienicznych względów.

* * *

Na początku była myśl, a myśl była pod kapeluszem, i kapelusz był nad myślą. A myśl wydała komitet, i komitet — nic nie wydał, oprócz odezwy.

Teć są księgi żywota antologji, która ma być drukowaną we Lwowie, i dlatego nie pojmuję, poco się tak irytować, *et cur tantae animis coelestibus irae?* Gdyby mię zapytano, w którem miejscu ma stanąć pałac dla powszechnej wystawy światowej w nadpełtwiańskim grodzie, nie zastanawiałbym się nad tem ani chwili, albowiem wiem, żę wystawy takiej we Lwowie nie będzie. A gdyby mię zapytano, gdzie p. Grzegorzewski włoży wieniec wawrzynu, ofjarowany mu za jego zasługi literackie, nie zastanawiałbym się także, albowiem wiem, iż nikt nie będzie mu ofjarowywał wieńca, i że gdyby mu go ofjarowano, nie miałby go gdzie włożyć. Dla tego też świat nasz literacki powinien uspokoić się i nie zapalać na Parnasie pochodni wojny domowej, rozprawiając o ewentualności, która nigdy nie nastąpi.

Natomiast pięknieby było, gdyby:

...niejeden poeta,
Co złupił Musseta,
Petrarkę, Byrona
I Ratisbonna,

pomyślał o przygotowaniu cegiełek do antologji z dzieł poetów polskich, która kiedyś przecież wyjdzie, chociaż nie we Lwowie. Wspominałem już raz o potrzebie i pożyteczności przekładów z obcych języków. Otóż mamy cały skarb najpiękniejszych płodów ducha polskiego, zagrzebany w martwej łacinie, a w kraju znany chyba uczonym, chociaż np. poezje Sarbiewskiego stanowią przedmiot wykładów na uniwersytecie oxfordzkim. Niektóre z tych dzieł są już tłumaczone, ale możnaby przełożyć je drugi raz, piękniej i gładziej. Inne nie doczekały się jeszcze tłumacza. A więc: *disce puer latine,* i tłumacz Kochanowskiego, Sarbiewskiego, Janickiego itd. a kiedyś sam nie będziesz wiedział, zkąd się bierze twoje nazwisko obok wielu imion wielkich i świetnych, w tej samej książce, i bez uchwały żadnego komitetu.

* * *

Jeżeli dobrze pójdzie, będziemy mieli we Lwowie wkrótce jeszcze jeden jubileusz pisarski. Tym razem, jubilatem będzie historyk, A. Bielowski. Nazwisko jego mimowoli wpadło mi pod pióro, gdy wspomniałem o przekładach. W długim szeregu zasług tego weterana nauki niemałe zajmują miejsce prace takie, jak np. przekład „Pieśni o wyprawie Igora na Połowców." Oprócz tego, gdyby nawet poglądy Bielowskiego na pierwotne dzieje Słowiańszczyzny i Polski były mylnemi, jako zbyt apriorystyczne i nie poparte innemi świadectwami, jak tylko dowolną interpretacją kronik, zostaje nam jako rezultat olbrzymich prac przedsięwziętych w tym kierunku, staranne porównanie, zestawienie i oczyszczenie tekstów kronikarskich, i nagromadzenie obrobionego w ten sposób materjału do najdawniejszej historji naszego narodu. Był czas, kiedy oprócz Bielowskiego, żadne prawie znaczniejsze imię nie błyszczało w literaturze galicyjskiej. Nadto, rodzaj jego prac pozwala mu być znanym jawnie za kordonem moskiewskim, podczas gdy np. Goszczyński jest tam kontrabandą. Wszystko to razem zapewnia mu jak najliczniejszy udział wszystkich w uznaniu jego półwiekowych trudów i zasług. Otrzymywaliśmy już w tej mierze zapytania z Królestwa i z Wielkopolski', ale odpowiedzi dać nie umieliśmy: wiemy tylko, że istnieje myśl obchodu, ale nie wiemy, pod czyim kapeluszem, i czy wydała już komitet?

* * *

Walka Welfów i Gibellinów teatralnych rozstrzygniętą będzie nakoniec — przed kratkami sądowemi. Dnia 20. kwietnia odbędzie się rozprawa o obrazę czci, w skutek skargi wytoczonej przez p. Stanisława Dobrzańskiego p. Henrykowi Rewakowiczowi, redaktorowi „Dziennika Polskiego." Żałować należy, iż nie ma trybunału, któryby rozstrzygał skargi o obrazy innego rodzaju, np. o obrazę prawdy, sztuki, logiki itd. Gdyby istniał taki trybunał, dzisiejsza dyrekcja teatru musiałaby go zasypać pozwami przeciw rozmaitym poczciwcom, którzy usiłują szkodzić jej materjalnie, psując jej kredyt finansowy, gdy nie mogą wyrządzić jej szkody moralnej. Nauka polska mogłaby także udać się ze skargą do takiego trybunału na pewnego dygnitarza, który jej zarzucił niedawno, iż nie objawia dostatecznej działalności, aby mogła na uniwersytetach galicyjskich zapełnić luki wyrwane w skutek wyrugowania z nich „kultury niemieckiej." Od wyroku, uznającego go winnym obrazy prawdy, dygnitarz ten mógłby się chyba uchronić, powołując się na świadectwo wydziału filozoficznego we Lwowie, który niedawno zawyrokował, iż w całej Galicji jeden tylko p. Wachnianin uzdolnionym jest do wykładania jeografji, a i ten nie może wykazać się żadną inną pracą, oprócz przekładu niemieckiej książki na narzecze małoruskie. W takim razie, przed kratki idealnego trybunału dostałoby się kolegjum profesorów wydziału filozoficznego, a prawda wyszłaby na wierzch, jak olej w profesorskiej głowie.

Jan Lam.

Piśmiennictwo polskie.

RECENZJA

Dr. KAROLA LIBELTA.

(Ciąg dalszy.)

(Panteon wiedzy ludzkiej Bronisława Trentowskiego; tom II. Nakładem Żupańskiego; Poznań 1875.)

„Historjografja" wykładająca, jak powinno się pisać dzieje, ma następne części: 1) „Prometeleyka", traktująca o tem jak się zabierać do napisania historji. Trzeba tu zebrania historycznego zapasu, ułożenia planu do dzieła, i nastroju własnego ducha. 2) „Skopika" pouczająca, w jaki sposób ma się historję pod względem jej treści traktować. Mamy tu historję krytyczną, historję gramatyczną i historję historyczną, łączącą dwie pierwsze ze sobą. 3) „Metoda" czyli „ucz" historyczna opowiada dzieje albo narodami (etnograficzna), albo wedle współczesnych wydarzeń (synchronistyczna), albo wedle pewnych okresów (peristatyczna.)

Nie możemy w końcu pominąć, co na str. 324 Trentowski o Kijowianinie i wychodźcy „Duchińskim" przedstawia. Oparł ten badacz historję na etnografji i wyniósł z gruntownych badań swoich te oto myśli, czyli prawdy historyczne. 1) Moskal, Tatar i Fińczyk nie należą do ludów indo-europejskiej rasy, do której Rusini i Lechici należą. 2) Unja Litwy z Polską, była unją ludów jednoszczepowych, bo z wyjątkiem Żmudzi, Litwa była osiadła przez Rusinów i Polaków. 3) Polacy są współszczepowymi z ludami zachodniej Europy; Moskale są plemieniem uralskiem, koczowniczem, zaborczem, zostającem w związku z Azją. 4) Słowiańszczyzna to Polszczyzna na wschodzie; za Polską Słowiańszczyzny nie ma i nie było. — Warto, aby te prawdy etnograficzne większe znalazły upowszechnienie i dla tego je tu przytoczyliśmy.

Z humanistyką skończył się rzeczywiście Tom I. Panteonu, obejmujący bogate i rozłogie drzewo nauk treści tego świata. Wszakże nie ma treści bez formy. A jako treść tak i forma musi mieć swój osobny naukowy rozrost. Na formie polega każdy przedmiot natury, na niej stoi, każdy wyraz ducha; bez niej obejść się nie może żywot, będący rzeczywistością tego świata.

Po nad wszystkiem trojgiem panuje forma, jako umiejętna twórczość „Tu dzielnica genjuszu bożego i ludzkiego“ (str. 363.)

Mianem wszystkich nauk formalnych jest „morfozyka“. Formą empirji jest „matematyka“, formą spekulacji „logika“, formą humanistyki „estetyka“. Oto trzy działy nauk formalnych, i nie może ich być więcej. Mają one te same przymioty, co forma. Są one wszędzie te same, a zatem „nieprzemienne“ i „nieomylne“. Są dalej „widoczne“ a więc „pewne“ (ewidencja.) Są nakoniec wewnętrznie „konieczne“ (apodyktyczność). Są to wysokie, boskie przymioty, któremi się morfozyka szczyci. Forma jest w ogóle spirytualna, idealna, a tym charakterem wyższa od treści.

Zapatrywanie się autora na formę, i nauki formalne zdaje nam się ztąd wadliwe, że uważa formę w abstrakcji, czyli w oderwaniu. Forma taka jest martwa i do umiejętności podnieść się nie może. Ale też forma taka nie istnieje wcale, jako treść sama nie istnieje. Jedna i druga są z sobą koniecznie połączone. Już nauki treści nie byłyby się mogły pojawić, gdyby nie były przybrały formy. Równie i nauki formalne bez treści obejść się nie mogą i mieć ją muszą. Jedyna matematyka „czysta“, wzięła sobie za cel wysnować formę w coraz nowe prawdy. Dla tego jest tak sucha i odpychająca; acz ścisła, konieczna, nieprzemienna. Nie spotyka ten zarzut matematyki zastosowanej, która się obleka w treść, i na ciałach czy to stałych, czy płynnych, czy powietrznych odsłania prawdy matematyczne. Już w początkach filozofji położono „liczbę“, jako zasadę tego wszystkiego, co jest. Już Plato nazwał Boga wielkim „geometrą“. Bo zaprawdę wszystkie twory i objawy natury, odbywają się wedle najściślejszych matematycznych reguł. Prawa sił wszelkich, prawa obiegu planet około słońca, prawa grawitacji, prawa spadku, ciążenia obrotu, prawa widzenia i słyszenia — to wszystko odbywa się wedle najściślejszych matematycznych prawideł.

W całej więc naturze jest matematyka zastosowana, bo ona jest wyrazem formy na przestrzeń i czas, na wszelką skończoność i nieskończoność tak przestrzenną jak czasową. Nie ma jej tylko w duchu, spekulacyjnie pojętym, na którego stosunki przestrzeni i czasu, a zatem i matematyczne prawidła się nie rozciągają. W tem rozległem bo na cały świat rozciągającem się zastosowaniu matematyka jest nie tylko ścisłą umiejętnością, ale nawet podstawą wielu innych umiejętności.

Zachodzi pytanie, pierwszy raz przez Wrońskiego podjęte i przezeń rozwiązane, ażali możliwą jest „filozofja matematyki“. Autor Panteonu, nie będąc sam matematykiem, prosił w tej mierze o sprawozdanie B u k a t e g o, ucznia i zwolennika Wrońskiego, i przytoczył takowe w dość znacznej rozciągłości. Nie powiem, aby się nim szczęśliwie wyręczył. Bukaty nie ma talentu jasnego przedstawienia rzeczy. Jest niezrozumiałym nietylko z powodu dzikiej nomenklatury, ale więcej jeszcze z powodu urywkowego i niedostatecznego przedstawienia rzeczy. Wroński, zdaje się oparł swoją filozofję matematyki, że postawił najprzód najogólniejszą zasadę matematyczną A=A, i z niej rozwinął wszystkie następne główne prawdy matematyczne. Powtóre, że wynalazł w każdym głównym kierunku matematycznych badań, najogólniejszą formułę, z której się wszystkie inne właściwości tych szczegółowych badań podają. Potrzecie, że zbadał i postawił „najwyższe prawo“ matematyczne, niejako wyraz archi-absolutu tego wszystkiego, co w świecie jest formą, czy to nieżywotną czy żywotną, czy organiczną lub nieorganiczną, a nawet formą wolnego, działającego w ciele ludzkiem ducha. Wedle Bukatego wyjaśnił i uzasadnił Wroński algorytmicznie (bo liczba jest idealnością matematyki) całe dzieło stworzenia świata w siedmiu rzędach. „1) w stworzeniu świata przez równowagę ciał niebieskich; 2) w stworzeniu ciał niebieskich przez równowagę materji; 3) w stworzeniu materji przez równowagę sił pierwiastkowych; 4) w stworzeniu własności ciał przez wpływ pierwiastku luminarnego; 5) w stworzeniu organizmu przez pierwiastek organiczny; 6) w stworzeniu witalizmu przez pierwiastek życionośny; 7) w stworzeniu psychologizmu przez pierwiastek elenteryczny (str. 423). Jest to więc obraz filozofji empirycznej pod względem formalnym, sięgającej aż tam gdzie się poczyna wola wszechstworzyciela, i wola jednostkowego ducha. Rzecz to bardzo naturalna. Bo jako treść wszelaka, tak i forma każda, wychodzi z Boga, a więc musi być w tej ostatniej, wszechmoc, wieczność i nieskończoność. Największym też szczytem matematyki są działania (operacje) nieskończonemi ilościami.

Wszechmoc matematyczna w obec ducha, czyli w krainie idei, jest, jak się już raz rzekło, niemocą. Wszechmocą ducha jest „logika“. Jest to nauka formy wewnętrznego świata. Tą formą, czyli zewnętrznem ducha wyrażeniem jest „myślenie“. Przeto logika nauką myślenia. Myślenie, jako takie, to nie empirja, ale spekulacja, metafizyka, idea, w ogóle idealność. W tem jej wyższość nad matematyką, że ta tu zawisła od rozciągłości przestrzennych, od następności czasowych i od żywotnych objawów siły; ona zaś ma widoczność w sobie, ma oczywistość wewnętrzną. „Przeświadczenie“, na którem gruntuje się logika, nie znajduje się w powiatach empirji. Ma je tylko Bóg i człowiek. (C. d. n.)

O POPRAWIE
społecznego i ekonomicznego stanowiska kobiet.

Studjum podług Dr. Fr. Holzendorfera.

(Dokończenie.)

Już w starożytnej Grecji, a więc w czasach, kiedy stanowisko kobiety było bardzo upośledzone, wypowiedział największy z ówczesnych mędrców zdanie, że wychowanie kobiety zajmuje nadzwyczaj ważne stanowisko między sprawami państwowemi. A dziś mielibyśmy twierdzić, że społeczeństwo nie ma obowiązku troszczyć się o oświatę kobiet, lub że kobieta sama nie powinna troszczyć się o sprawy publiczne? Bardzo często się zdarza, że kobieta musi skutecznie równoważyć wpływy samolubstwa mężczyzny. A czy tego dokaże bez wyższego wykształcenia? Głębszy i donioślejszy wpływ na wychowanie domowe wywierać może tylko taka kobieta, która zrozumiała różnorodność życia ludzkiego i przejęła się zasadami otaczającego ją społeczeństwa. Gdy kobieta zrozumie owe prądy, stanie się ozdobą duchową tych wszystkich, na których wpływ wywierać będzie. Gdyby nawet zdolności kobiece zupełnie różniły się od zdolności mężczyzn, musielibyśmy jeszcze przez wzgląd na wychowanie przyszłych pokoleń przyznać, że powinna swoje duchowe i moralne zdolności rozwijać jak najbardziej. Odpowiednio do tych wymagań trzeba się starać o zaspokojenie jej potrzeb podając ku temu wszelkie środki możliwe. Przeszkadzać jej na tej drodze byłoby nietylko niesprawiedliwem, ale nadto szkodliwem dla najwznioślejszych celów oświaty rodzinnej. Te kobiety, które dotychczas nie zrozumiały swego powołania, lub obawiając się potęgi przesądów, nie chcą podążać za biegiem myśli naszego stulecia, zostawią nam w spuściźnie pokolenie, które nietylko że nigdy nie pojmie zasadniczych prawd życia, ale nadto jeszcze przeszkadzać będzie dążnościom i wymogom ducha czasu. Już sama potrzeba religijna nakazuje kobiecie działać po za obrębem życia rodzinnego. Gdy w kobiecie zbudzi się poczucie polityczne, stanie się ona kapłanką moralności powszechnej i nauczy swoje otoczenie ofiarności i miłości ojczyzny.

Do spełnienia tych ważnych zadań przyczynią się także pogodzone ze swojem przeznaczeniem owe dziewczęta, którym los nie dozwolił założyć własnego ogniska domowego. Gdy pojmą, że każda poważna praca nietylko opłaca się pojedyńczemu człowiekowi, ale nadto staje się dobrem całego społeczeństwa, zniknie zupełnie błędne przekonanie, że „stan panieński“ równa się nieszczęściu. Zobaczą one przed sobą cele wyższe i niemało zadań publicznej doniosłości. Dowiedzą się, że nie jedna kwestja socjalna czeka, rychło ją kobieta rozwiąże, zamieniając w żyzną glebę odłogiem leżące pola. Wychowanie publiczne, zakłady sierót, pielęgnowanie chorych i ubogich są właśnie jakby dla tych kobiet, których rodzinne obowiązki nie krępują w swobodnem wypełnianiu przyjętych na siebie obowiązków.

Zaprzeczylibyśmy zupełnie rozwojowi wolności ludzkiej, gdybyśmy utrzymywali, że kobieta tylko wychodząc za mąż, odpowiada „naturalnemu“ swemu powołaniu, a niezamężna skazana jest na jakieś nieprawidłowe życie. Błędne to zapatrywanie musiałoby odjąć doniosłość humanitarnym celom, wychodzącym poza obręb życia rodzinnego, i skazać wszystkie istoty, szukające zajęć nie w kółku rodzinnem, na „śmierć moralną.“

Byłby to bezskuteczny eksperyment, gdybyśmy strzegąc powagi i świętości rodziny, chcieli naznaczyć kobiecie taką granicę wykształcenia, do którejby mimo największych wysileń dojść nie była wstanie, sądząc, że przezto stworzylibyśmy sztuczną zaporę rozwojowi jej umysłowych zdolności. Przeciwnie. Powinniśmy starać się ile możności podniecać ów popęd objawiający się dzisiaj w kobiecie do nauk i skorzystać z chwili. Wiemy bowiem z doświadczenia, które nam przyniosły dzieje rozwoju oświaty całej ludzkości, że właśnie upadek rodziny począł się tam, gdzie otwarcie lub potajemnie stawiano przeszkody duchowemu rozwojowi kobiety. Wzrost życia duchowego, ów nieprzezwyciężony popęd do kształcenia się kobiety, powinien raczej napełniać otuchą, że przez to rodzina uszlachetni się i popchniętą zostanie na inne wznioślejsze tory.

Z NATURY.

Djament.*)

W djamencie dała nam natura ciało, które zdaje się urągać całemu porządkowi rzeczy. Podczas gdy wszystko dokoła nas niknie i ginie, podczas gdy żelazo topi się w ogniu a ulatnia pod wpływem powietrza, złoto zaś i srebro z biegiem lat w proch się rozsypują — djament jeden pozostaje niezmieniony, „niepokonany", i dla tego to Grecy nazywali go — Adamas. Obliczono, że z niesłychanych skarbów starożytności, a nawet tych, które znane były w pierwszej epoce — średnich wieków, nie pozostało do dni dzisiejszych prawie nic, z wyjątkiem chyba nielicznych wykopalisk; ta niesłychana potęga, która światem nieraz trzęsła — a ludzi do szaleństw lub zbrodni pobudzała, jakąż drogą poszła w krainę wiecznego zapomnienia? Znikła; w części pochłonęła ją ziemia w części w pył się ulotniła, lub zmięszała się z wodami Oceanu. W największej atoli części połączone z innemi ciałami, skarby Krezusa, perskich i indyjskich despotów, egipskich faraonów i rzymskich patrycjuszów, wymknęły się rękom ludzkim — aby już do nich nigdy nie powrócić. Gdyby złoto i srebro nie ulegały zniszczeniu, to od dawna już byłyby utraciły swoją wielką wartość — jako środki zamienne, gdyż oba te kruszce, w porównaniu z tym jednym, który wiekom się opiera, to jest djamentem, znachodzą się stosunkowo w nadzwyczajnej ilości. Jak niespożyte dziedzictwa ludzkości, wloką się zapasy djamentów przez długie pokolenia, i każdy z nich przeżył rody, państwa i ludy.

A jednak i djament nie jest wiecznym. Niepokonany ten kruszec, ten Adamas grecki, ginie pod wpływem silnego ognia, i śladu po sobie nie zostawia. Wielki myśliciel angielski, Newton, pierwszy wpadł na domysł — że djament może być spalony, ponieważ spostrzegł, że promienie światła, przechodząc przezeń, tak gwałtownie się łamią, jak to się zwykło dziać tylko przy ciałach palnych. Newton wystawił nawet djament na silne działanie ognia ale bez skutku. Za przyczynieniem się wielkiego księcia Kosmusa III, Akademja florentyńska, przedsięwzięła w r. 1694 próby z topieniem djamentów. Nie użyto do tego ognia ziemskiego, ale promieni słonecznych zestrzelonych w jeden punkt — za pomocą soczewki olbrzymiego szkła palącego. To niesłychane gorąco przemieniło djament w parę; najpierw zaczął się rysować, potem pryskać, a nakoniec ulotnił się, nie zostawiając atoli śladu topienia. Cesarz Franciszek I. chciał powtórzyć eksperyment, i przeznaczył na ten cel 6000 florenów. Djamenty kupione za te pieniądze wrzucono w r. 1750 we Wiedniu do małego naczynia, które przez 24 godzin wystawione było na działanie najsilniejszych płomieni. Djamenty robiły się coraz mniejsze, a nareszcie znikły. Palenie djamentów było zamiłowaniem, szlachetną namiętnością, której oddawali się głównie kapryśni Paryżanie. Im też zawdzięczamy ciekawe w tym względzie odkrycie. Pewnego pięknego poranku, kupiec zajmujący się handlem djamentów, niejaki Leblanc, przyszedł do paryskiej Akademji, i oświadczył zgromadzonym tamże mędrcom, że w palenie djamentów wcale nie wierzy, owszem z własnego doświadczenia mógłby każdego przekonać, że djament pod wpływem ognia robi się piękniejszym, gdyż on sam oczyścił już kilka w ten prosty sposób. Pan Leblanc położył kilka djamentów owiniętych w kredę i węgle prosząc, aby rozpoczęto doświadczenie. Przez trzy godziny mędrcy palili w piecu, potem otworzono tygiel — i oto djamenty ulotniły się na wieki. Złotnik odszedł zawstydzony a umiejętność okryła się nowym blaskiem. Głośne to niepowodzenie pana Leblanc, odjęło jego koledze, kupcowi Maillard, sen i apetyt, gdyż i on wiedział z doświadczenia, że w ogniu djament doskonale się czyści. Nie namyślając się długo, wziął najlepsze swoje djamenty, a owinąwszy je starannie w proch węglowy, wręczył akademikom z żądaniem, aby palili jak długo im się podoba. Mędrcy wzniecili ogień prawdziwie piekielny, ale doświadczony wyjadacz zacierał ręce z uśmiechem. Gdy tygiel odkryto, djamenty ukazały się w nim jeszcze piękniejsze jak przedtem. Szczególna sprzeczność! Nikt tego zjawiska nie umiał wytłumaczyć. Nareszcie jeden z uczonych, którzy pod djamentami palili, młody miljoner Lavoisier wpadł na trop właściwy, przekonał się był bowiem już przedtem, że podczas palenia się djamentów powstaje kwas węglany. Djament jest najczystszym węglikiem, który przez zetknięcie z tlenem pali się, przeistaczając się w (gaz) kwas węglowy; lecz jeżeli tlenowi, znajdującemu się w powietrzu przystęp się zamknie, to węglik sam się nie spali, chociażby ogień był największy. Leblanc nie zamknął swoich djamentów dość szczelnie w proch węglowy, i dla tego spłonęły. Maillard natomiast był ostrożniejszy, dlatego ocalił swoje kosztowności, a wraz z niemi sławę znawcy.

Że djament jest węglikiem, to już najmniejszej nie ulega wątpliwości, lecz w jaki sposób powstaje, tego nikt nie wie. Niemniej jest faktem, że z węglika niepodobna zrobić sztucznego djamentu.

Tworzenie się djamentu przez wielkie gorąco nie jest prawdopodobnem, ponieważ kruszec ten czernieje wśród silnych płomieni. Nierównie prawdopodobniejszem jest przypuszczenie, że powstaje on przy pomocy wody. W skarbcu cesarza brazylijskiego znajduje się djament, na którym jest widoczny odcisk ziarnka piasku. A więc ten djament musiał pierwotnie znajdować się w stanie miękkim. Harting znalazł w kilku djamentach krzemian żelaza, a Petzholdt odkrył nawet ślady komórek roślinnych w djamentach spalonych w Coaks. Za pewne możemy przeto uważać przypuszczenie, że djament tworzy się przy pomocy wody; ilekroć natomiast w naszych laboratorjach usiłujemy węgiel skrystalizować, otrzymujemy tylko grafit przydatny do robienia ołówków. Krainą djamentów są Indje wschodnie i Brazylja, gdzie można je czasem spotkać bądź w namuliskach, bądź w piasku rzecznym. Nie jest to jednak pierwotne ich legowisko, tylko woda przypadkiem tam je zaniosła. Zkąd one właściwie pochodzą, tego żaden geolog powiedzieć nie umie. Wschodnie indyjskie djamenty, sięgają historycznie najdawniejszych czasów tego kraju, a nawet spotykamy o nich wzmiankę w pieśniach bohaterkich z epoki baśni i podań. Największy ze znanych djamentów, o którym wkrótce będzie mowa, jest kilkakrotnie wymieniony w najstarszych pieśniach indyjskich.

Istnieje on jeszcze chociaż tysiące lat zginęło w pomroce przeszłości. (C. d. n.)

*) Patrz: Aussichten aus Natur und Wissenschaft, von Dr. H. Klein — 1875.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— „Sumienny konkurent," studjum karnawałowe przez Jana Zacharjasiewicza. Warszawa — 1875.

W małej tej książeczce, autor odmalował żywemi farbami zwichniętą wychowaniem młodą panienkę, która pragnie by grono wielbicieli bez przerwy ją otaczało, a jeżeli przy tej sposobności powiedzie się wyjść dobrze, tj. bogato zamąż, to tem lepiej. Sumiennym konkurentem, jest młody, poczciwy człowiek, który w końcu powieści żeni się, jak Bóg przykazał. Tło romansu jest karnawałowe, bo przecież polowanie na mężów zwykło się w tym czasie najpomyślniej odbywać, a chociaż do psychicznego rozwiązania potrzeba było autorowi ciotki mającej pół miljona, czego autorowie niejednokrotnie już używali — to jednak rzecz cała czyta się przyjemnie, zwłaszcza że zasada moralności w końcu tryumf odnosi.

— „Pamiętniki panicza," przez Bolesławitę. Lwów — 1875

Mało w ostatnich czasach mielismy powieści, któreby z takiem zajęciem były czytane, jak właśnie powyższa, która pojawiła się najpierw w odcinku „Gazety Narodowej" a teraz wyszła w osobnej odbitce. Autor odmalował lwowskiego panicza tak wiernie, że w nim jednym mamy żywy obraz rozpadającej się warstwy społeczeństwa, do której on należy. Szkoda tylko, że druga część powieści jest nadto obcięta, tak że czytelnik prędzej do końca dobiega, niżby sobie tego życzył.

— „Poświęcenie", dramat w jednym akcie, przez Zygmunta Przybylskiego — Kraków — 1875.

O ile nam wiadomo, jest to pierwsza praca młodego autora, wstępującego na ciernistą drogę dramaturga. Jako taka nie może być wystawiona na suchą krytykę. Poprzestaniemy przeto na uwadze, że dykcja jest potoczysta, język poprawny, a jeżeli całości brak jeszcze warunków scenicznych i głębokości psychicznej, to rozważyć należy, że przymioty te są owocem dłuższej pracy i głębokiej refleksji. Z tego co dziś mamy, możemy wnioskować, że p. P. obdarzy nas z czasem dobrym dramatem.

— Zasady rolnictwa przez Karola Majewskiego. Tom I Warszawa — 1875.

Jako w kraju przeważnie rolniczym wydawnictwo to zajmie niepoślednie miejsce. Tom pierwszy, który właśnie opuścił prasę, obejmuje wykład teoryczno-praktyczny, naukowy i doświadczalny, tak ogólny jakoteż i szczegółowej uprawy dotyczący, z uwzględnieniem historycznego rozwoju pojęć o rolnictwie. Liczne i bardzo starannie wykonane drzeworyty uzmysławiają wykład.

— Rocznik odkryć i wynalazków 187$^3/_4$ oraz kalendarz i część informacyjna na rok 1875. Warszawa — 1875.

Rocznik ten wydany na wzór roczników wychodzących we Francji, Anglji, Włoszech i Niemczech przedstawia rezultaty pracy dokonanej na polu nauk przyrodniczych i ich zastosowań w drugiej połowie r. 1873 i pierwszej r. 1874. Zawiera on dwa działy: w dziale pierwszym umieszczone są najnowsze zdobycze nauk w wyż wymienionym czasie w astronomji, chemji i technologji chemicznej, mechanice i inżynierji cywilnej, geologji i paleontologji, geografji, rolnictwie i historji naturalnej. Przy końcu tego działu umieszczony jest bibljograficzny opis najważniejszych dzieł, jakie się pojawiły w pomienionym czasie w tych działach umiejętności w językach polskim, francuskim, niemieckim i angielskim. Artykuły pomieszczone w roczniku opracowane są popularnie. Dział II obejmuje kalendarz i część informacyjną na rok 1875.

— Geometrja wykreślna wraz z zastosowaniem do teorji cieniów i wolnej perespektywy dla użytku wyższych szkół realnych przez Dra Daniela Wierzbickiego, adjunkta obserwatorjum astronomicznego krakowskiego. Część pierwsza z 18 tablicami. Kraków — 1875.

Geometrja wykreślna, jako umiejętność, jest podstawą wszelkich dokładnych rysunków i jako taka, jest dla ucznia mającego się w przyszłości oddać zawodowi technicznemu, nader ważną. Skutkiem rozmaitego uzdolnienia nie wystarcza zawsze wykład szkolny; — dlatego też z wdzięcznością przyjmie nasza młodzież ten podręcznik, a Rada szkolna, przyznać to trzeba, nie mogła w lepsze ręce odać wypracowania tej ważnej nauki w szkołach realnych. Część ta zawiera: Sposoby wyznaczania położenia punktu, linji prostej i płaszczyzny, z osobna i w związku między sobą; naukę o kładach, obrotach zmianie płaszczyzn rzutów; następnie o kątach bryłowych trójściennych; nareszcie wielościany, ich rzuty, przekroje i przecięcia wzajemne. Do tej części dołączony jest atlas i 18 tablic, wykonany w zaszczytnie znanej litografji A. Pruszyńskiego.

Wiadomości z kraju i ze świata.

— Prelekcje dla kobiet, urządzone przez lwowskie Towarzystwo pedagogiczne, licznych ściągają słuchaczy. Płeć piękna, która pilnością i chęcią nauczenia się czegoś, zawstydza całą naszą płeć brzydką — zbiera się w sali ratuszowej tłumnie. Z dotychczasowych prelekcji najbardziej podobały się dr. Romera z nauk przyrodniczych, dr. Żulińskiego, który mówił o hygjenie i Czesława Pieniążka, który po dwakroć wykładał o gawędach Syrokomli i W. Pola. Szcze-

gólnie prelekcje p. Pieniążka wywoływały burzę oklasków. Wykłady potrwają do końca kwietnia.

— W związku z naszym artykułem kierującym z numeru poprzedniego, otrzymujemy następującą odezwę: „Myśl postawienia pomnika największym wieszczom naszym, którymi byli niezaprzeczenie: Mickiewicz, Krasiński i Słowacki, poruszona na nowo na ostatnim obchodzie Mickiewiczowskim przez Akademików krakowskich, przekonała nas, iż głęboko jest zarytą w życiu narodu, i że niebawem w czyn wyrośnie. Dla tego na czasie jest przypomnieć światlej i patrjotycznej publiczności, iż z wydanych na ten cel trzech znakomitych rozpraw: 1) O odwadze cywilnej, 2) O miłości ojczyzny, 3) O wychowaniu ludów, Karola Libelta, jeszcze znaczna ilość pozostała, i ta książka po bardzo niskiej cenie t. j. po 50 centów została oddaną do rozprzedaży panu F. H. Richterowi we Lwowie, w którego księgarni takową dostać można. Polecam zatem szanownym ziomkom tę znakomitej wartości i taniości książkę, którą każda zacna rodzina polska posiadać powinna.—Włodzimierz Stanisław Wilczyński.“ — Z naszej strony pochwalając patrjotyczne usiłowania p. W. musimy dodać, że dzieło dr. Karola Libelta, które za 50 ct. można otrzymać, jest w rzeczy samej pracą znakomitą, która mianowicie dziś powinna znajdować się we wszystkich rękach. Z niej nauczy się niejeden jak się powinno żyć i jak działać.

— Na ostatniem posiedzeniu tutejszego Towarzystwa przyrodników, odbytem 13. marca, prof. Kreutz wspomniał o zasługach położonych przez Lyella dla nauk przyrodniczych w ogólności a dla geologji w szczególności; prof. Ciesielski mówił o zgnilcu (chorobie pszczół), a Dr. Feigel podał treść rozprawy Dra Carajana: „Ueber Assamation der Grossstädte“, w niejednym względzie i dla nas. t. j. dla miasta Lwowa, nader zajmującej. Najlepiej urządzoną kanalizację mają miasta Berlin i Gdańsk, przynoszącą nadto temu ostatniemu miastu 30,842 tal. rocznego dochodu. Jak wielki wpływ dobrze urządzona kanalizacja wywiera na zdrowie i życie mieszkańców miast, widać między innemi na angielskich miastach Salisburg i Norwood. Śmiertelność zwyczajna wynosiła w pierwszem z nich przed zaprowadzeniem kanalizacji 27, w drugiem 22 na 1000 mieszkańców, a po zaprowadzeniu kanalizacji zmniejszyła się do 20 i 14 na 1000 w tychto dwu miastach. W Wiedniu śmiertelność zwyczajna nie przenosi 32 do 33 na 1000; „we Lwowie dochodzi ona do 38 i 39 na 1000, dzięki naprzód niedostatecznej i źle urządzonej kanalizacji, złej wodzie pitnej w studniach, i zbytkowi zepsutej wody zaskórnej w wszystkich dzielnicach miasta. Wspomnieliśmy, że Towarzystwo przyrodników wniosło podania do c. k. Dyrekcji policji i do Rady miejskiej o zapobieżenie powszechnemu u nas katowaniu koni. Dowiadujemy się z przyjemnością, że straż policyjna otrzymała nakaz ścisłego baczenia na pomienione przekroczenia. Zdarza się atoli, że nawet światlejsza publiczność bierze w obronę winowajców. Triste dictu!

Literatura i sztuka.

— Niewłaściwe, a nawet kompromitujące postępowanie krakowskiej Akademji umiejętności, wobec naszego uczonego p. F. H. Duchińskiego, na co uwagę zwrócił p. Wł. Sabowski w ostatnim swoim liście umieszczonym w „Tygodniu“ wywołało publikację redagowaną przez p. Duchińskiego, a wychodzącą w Krakowie p. t. „Przegląd etnograficzno-historyczny i literacki, poświęcony badaniom Polski i krajów sąsiednich.“ „Przegląd“ wychodzi w trzech językach: polskim, niemieckim i francuskim, aby i zagranicę obznajamiać z badaniami p. D. na polu etnografji. Nie wątpimy, że zagranica zwróci uwagę na tę publikację i nie odpowie pociesznie jak Akademja krakowska: „Teorje p. Duchińskiego nic nie warte, my je potępiamy, chociaż w naiwności ducha naszego musimy wyznać, że ich nie rozumiemy.“ Tak niestety brzmiała odpowiedź, chociaż innemi wyrażona słowy, dana przez Akademję krakowską p. Duchińskiemu. Spuśćmy się więc na sąd cudzoziemców, może oni lepiej to zrozumieją. „Przegląd“ wychodzi w odstępach czternastodniowych.

— Magazin für die Literatur des Auslandes w nr. 11. z d. 13. b. m. umieszcza artykuł podpisany przez „Germana“. w którym autor ocenia bardzo przychylnie komedje Aleksandra Fredry (ojca) i końcy zapewnieniem, że przetłumaczone wzbogaciłyby bardzo literaturę niemiecką.

— Minionego poniedziałku słyszeliśmy w lwowskim teatrze, młodą pianistkę, pannę Paulinę Lachner, która wykonywując koncert Chopina z orkiestrą, warjacje symfoniczne R. Schumana, i „Tarantellę“ Liszta, złożyła dowody wszechstronnej techniki, siły prawie męzkiej i prócz tego okazała się artystką, posiadającą prawdziwe uczucie. Panna L. jest uczennicą p. Ludwika Marka. Publiczność przyjmowała ją hucznemi oklaskami.

— W Stanisławowie zacznie wychodzić nowe pismo pt: „Gazeta Podkarpacka“.

Tegoroczne premjum lwowskiego Tow. sztuk pięknych, przedstawiające obraz Rubensa znajdujący się w Belwederze we Wiedniu (ołtarz św. Ildefonsa) jest bezprzecznie najlepsze ze wszystkich dotyczasowych. Artystycznemu wykonaniu nic zarzucić nie możemy, tak wiernie jest schwycony rysunek a nawet charakter malowideł Rubensa.

— W dziele Estreichera niedawno wyszłem w Krakowie p. t. „Teatra w Polsce,“ które tylko w stu egzemplarzach wydanem zostało, znajduje się szczegół dość ciekawy, że przed 350 przeszło laty, po polsku już grano „Piękną Helenę.“ W roku bowiem 1522, na dworze Bony w obec Zygmunta Augusta i ojca przedstawiano dyalog „Sąd Parysa“ (Judicium Paridis de pomo aureo). Pisał go i drukował w Ingolstadzie Loecher, gdzie również przedstawiał ten dyalog. O reprezentacji pomienionej mamy jasne wyobrażenie z drukowanego tekstu, bo i grający artyści wymienieni. Była to młódź szlachecka, pod kierunkiem Stanisława z Łowicza. Obsada owej Pięknej Heleny była następująca: Parysa grał Mikołaj Kobyliński, Menelausa—Marek Żukowski, Piękną Helenę — Stanisław Maiik, Agamemnona — Jan Obydziński. Wszystko to była młodzież akademicka z Bursy Jerozolimskiej.

— Pan Władysław Mierzwiński, rzadkiej siły tenor, przyjęty został na trzy lata do opery paryskiej, ponieważ zaś brakuje mu rutyny scenicznej, przeto zajęto się kształceniem go pod względem dramatycznym, a następnie wysyłają go na jakiś czas do Lyonu, żeby nabył wprawy scenicznej, i już jako skończony aktor mógł być pierwszym śpiewakiem.

— Niedawno otwarcie opery tureckiej w Carogrodzie stanowi ciekawy swego rodzaju wypadek. Pierwsza sztuka wystawiona na scenie, jest utworu Haled-beja, łącznie z Mager-bejem; muzykę do niej napisał Digron-Chobrajan. Jednakże pisze „Athenaeum“ opera ottomańska nie myśli nieć w swym repertoarzu utworów wyłącznie ojczystych, gdyż istnieją już tłumaczenia na język turecki „Cienia“ Flotowa, „Wesele Joanetty“, Wiktora Macégo i „Chatki“ Adolfa Adama.

Trzeci z kolei nowy obraz Jana Matejki, pojawia się tego roku na wystawie sztuk pięknych w Krakowie. Po raz pierwszy artysta zaczerpnął tematu z obcej historji i przedstawił cara Iwana Groźnego. „Powrót cara Iwana Groźnego po sądach, z cerkwi przez plac tracenia,“ — pisze „Czas“ — wyobraża cara Iwana jako człowieka, który lubiąc nabożeństwa tj. różne cerkiewne obrzędy co do ich formy, i przypatrzywszy się pierwej z niejaką przyjemnością a nawet zapewne z potrzeba duszy cerkiewnym szyzmatyckiem nabożeństwem, idzie wprost z cerkwi, by się z równąż przyjemnością przypatrzeć na placu tracenia, gdzie mają wieszać skazanych przez niego na śmierć bojarów. Malowidło wyobraża jasny zimowy wieczór przy oświetleniu księżyca w Moskwie. Na pierwszym planie chłopak „klirosnik“ cerkiewny, barczysty i gruby, ubrany w kożuch, niesie ewangelję, za nim, tuż zaraz z prawej strony metropolita Lewty, ulubieniec carski idąc czyta ewangelję: jest to ten sam metropolita, który według opowiadań Karamzina, sprawiał carowi najrozpustniejsze niespodzianki: z lewej strony car, jakby oparł się na ręku syna swego Teodora. Przedstawiona jest chwila, w której car słuchając ewangelji i patrząc razem na szubienicę w oddali, krzyknął lub coś głośnego powiedział. W głębi za carem młoda caryca. Borys Godunów, Basmanow, Wiazemski i tłum. W środku sceny Maluta Skuratów z prostego stanu ulubieniec cara i wykonawca wszystkich jego chęci, trzyma hramotę, w której jest wyrok śmierci na prowadzonego tuż bojara. Maluta choć nie bojar, z miną tryumfu że bojara w jego oczach powieszą, jest postacią bardzo wybitną. Skazany bojar przypomina Morozowa, prowadzi go kat. Dalej w głębi malowidła Onufreja piastunka cara, której tylko jednej wolno robić było uwagi o carze, i ta też swobodnie bez obawy, pewna siebie opowiada. Orszak dalszy, popi i „opryezniki“; kilka postaci jest ubranych w wierzchnie stroje zakonne, bo car chciał wszystkich widzieć w kościelnych sukmanach i sam nawet chciał odprawiać mszę świętą. W drugim końcu malowidła łucznicy przyświecają carowi pochodniami widok szubienicy. Całe to arcydzieło nie kosztowało więcej pracy jak sześć tygodni.“ W ciągu roku dał nam więc Matejko: „Dzwon Zygmunta“ — „Wernyhorę“ i „Cara Iwana“. Czy lwowskie Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych poczyniło kroki, aby te dzieła pojawiły się na naszej wystawie?

— Cesarz Piotr II. Brazylijski wybrany został członkiem korespondentem działu żeglugi i geografji w Akademji umiejętności w Paryżu, pod nazwiskiem: Don Pedro d'Alcantara, cesarz Brazylijski. Jeszcze podczas posiedzenia dano mu znać o tym wyborze telegrafem.

Podróże, odkrycia i wynalazki.

— Rząd angielski zamianował już 23 oficerów, którzy wezmą udział w nowej wyprawie do bieguna północnego. Między nimi znajdują się tylko dwaj: Nares i Markham, którzy już dawniej zapuszczali się w krainę arktyczną.

— Dyrektor obserwatorjum w Pola. J. Polisa, odkrył nową planetę wielkości 12to rzędnej. Tak więc liczba znanych dotąd mniejszych planet między Marsem a Jowiszem doszła do 143.

— Nowy rodzaj torpedów, wynalazł francuski porucznik okrętowy, Fournier, adjutant admirała Touchart. Wynalazek ten polega na połączeniu torpedu z kulą, którą działo wyrzuca. Gdy kula uderza torped odrywa się i pęka pod statkiem, do którego był strzał wymierzony.

— Profesor Bouchat w Paryżu wynalazł przyrząd, który nazwał „nekrometrem“, służący do przekonania się, czy śmierć w organizmie ludzkim rzeczywiście nastąpiła. Urządzenie nekrometru polega na tem, że prof. Bouchat za pomocą licznych doświadczeń, bo w 1,100 wypadkach, przekonał się, iż ciepło w zwłokach ludzkich nie przechodzi nigdy 20° Celsjusza.

— Dr. Strousberg podjął budowę kolei z Paryża do Narbonny nad morzem Śródziemnem. Kolej ta podzieloną została na wiele sekcji a kosztorys ogólny jej podany na 400—500 miljonów fr. W najbliższym czasie rozpocznie się budowa dwóch pierwszych sekcyj, mająca kosztować 40 miljon. fr.

Wojskowość.

— Nowa ustawa o awansie w armji i statut organizacyjny dla sztabu jeneralnego, zostały cesarzowi austrjackiemu przedłożone do zatwierdzenia. Awans nadzwyczajny (*ausser der Tour*) został w zasadzie utrzymany, wszelako kandydaci muszą wpierw poddać się surowym egzaminom. Sztab jeneralny będzie odtąd tworzył ciało odrębne, niezawisłe od ministra wojny, lecz tylko jeneralnego inspektora armji, którym teraz jest arcyksiążę Albrecht.

Nekrologja.

— Dnia 22 lutego umarł w 78 r. życia jeden z najznakomitszych uczonych dzisiejszego czasu, geolog Karol Lyell. Dzieła jego, tłumaczone na wszystkie języki, z wyjątkiem naturalnie polskiego — dokonały stanowczego przewrotu w nauce geologji. On obalił teorją plutoniczną, przypuszczającą- że ziemia w swem ukształtowaniu się przechodziła przez liczne i gwałtowne przewroty, przypisywane działaniu pod ziemnych ogni — natomiast ustalił teorję nową, podług której ziemia dorosła do obecnego stanu drogą powolnego rozwijania się pod wpływem działania praw fizycznych i chemicznych. Po wystąpieniu Darwina ze swą teorją — napisał Lyell dzieło: Świadectwa geologji o starożytności rodzaju ludzkiego.

ROZMAITOŚCI.

(Wspomnienie o Teofilu Wiśniowskim).

— Autor „Rumunji jej przeszłość i teraźniejszość“ dzieła, które przed paru miesiącami prasę opuściło, opisując swemu przyjacielowi, mieszkającemu w Jassach uroczystość obchodu 50cio letnich zasług w literaturze krajowej Seweryna Goszczyńskiego, otrzymał w odpowiedzi list następujący, który tu w tłumaczeniu podajemy, spodziewając się, że inne pisma polskie za nami go powtórzą.

— „Pojmuję wzruszenie jakie panowało w całem towarzystwie uczestniczącem w świetnym obchodzie uczczenia cnót obywatelskich, czynów i prac literackich jednego z waszych wieszczów. Szczęśliwszy od innych doczekał się on zaszczytnego uznania swego poświęcenia dla świętej sprawy.... i rozumiem rozczulenie jakiego doznał odbierając książkę zbiorową poświęconą dostojnemu Jego Imieniu. To co mi piszesz w dalszym ciągu swego listu o medalu mającym się odbić na pamiątkę poległych na Podlasiu za wiarę i Ojczyznę włościan, dowodzi, iż oddając zasłużony hołd żyjącym, nie zapominacie również o tych tysiącach... co mówię?... krociach tysięcy męczenników, którzy ponieśli śmierć dla świętej miłości Ojczyzny. Posyłam ci jeden szczegół biograficzny który się odnosi do krwawego i ponurego dramatu Polski; nie chcę go z sobą zabrać do grobu, mniemając iż wzbudzi w twych ziomkach rzewne i pobożne westchnienie za jednym z owych a tak licznych męczenników. Cokolwiek bowiem tyczy się z blizka lub daleka tragicznych wypadków, waszego bohaterskiego kraju, jego usiłowań około wydobycia się z grobu... około zmartwychwstania narodu, który jest nowym Chrystusem Wolności (tak Edgar Quinet nazwał Polskę..) nie powinno być ukrytem przed jego synami... nie powinno być wyłączonem z dziedzictwa wzniosłych czynów, jakie w latach ubiegłych miłość Ojczyzny przekazała teraźniejszości i przyszłości. Świętokradztwem byłoby utaić cokolwiek z tego, co się odnosi do bohaterów i męczenników, którzy krwią swoją zlali tę ziemię, ziemię dziś dziewiczą przez swoje nieszczęścia i cierpienia... Świętokradztwem byłoby puścić w zapomnienie owe czcigodne, święte nazwiska, które składają się na tak długi szereg odkupicieli ojczyzny. I ja mam także wianek nieśmiertelników do złożenia na jednym z grobów kopanych pod rusztowaniem, a składam go na kamieniu, co pokrywa święte popioły, tak świeżym i żywym, jak go od dawna moje serce przechowało!... Teofil Wiśniowski!.... Było to w roku 1844. Mołdawja była wówczas, tak jak dzisiaj i jak nią zawsze będzie otwartą i gościnną ziemią, zwłaszcza dla wygnańców politycznych. Ale wtedy zostawała ona pod protekcją potęgi, która udzielała jej nieproszonej opieki, pod warunkiem, że się będzie zastosowywała do tej machiawelskiej polityki. Policja miejscowa, musiała mimowolnie być czujnym i kornym pomocnikiem inkwizycji i prześladowań Metropolji, a nadewszystko w kwestji dotyczącej polskich tułaczy... Ziemia mołdawska nie była więc niętykalną a pewną świątynią dla nadwiślańskich wygnańców, i aby ujść czujnego oka szpiegów moskiewskich musieli się oni skazywać na żywot pustelniczy, którego opieką było tylko współczucie obywateli rumuńskich dla ich ciężkiej niedoli. Otóż jednego dnia wszedł do mnie jakiś pan, który przedstawił mi się jako Francuz pod nazwiskiem Durand, oświadczając, że przyjemność zapoznania się ze mną zawdzięcza poleceniu jednego ze swych przyjaciół.

— Witaj Panie w moich progach — rzekłem — i racz się uważać w domu moim jak u siebie przez cały przeciąg czasu, który będzie ci się tu podobało zostać. Szczęśliwy jestem, że mogę ofiarować gościnność wprawdzie skromną, ale szczerą i przyjacielską.

Po wymianie tych wstępnych grzeczności wprowadziłem go do pokoju, zapraszając na posiłek, który chwilowo jest najlepszem lekarstwem na zmęczenie po podróży odbytej w kraju, gdzie publiczne karetki zdawały się pochodzić jeszcze z warsztatów Cyrusa, któremu przypisują wynalazek poczt. Pan Durand pozostał panem Durand do wieczora. Nie przyszedł tego dnia na objad, wymawiając się utrudzeniem. Nie domyślałem się wówczas, że ostrożność zmuszała go do ukrywania się; będąc bowiem przełożonym zakładu wychowawczego, jadałem wspólnie z mymi uczniami... Postępowanie takie przez dłuższy czas wymagało jednak objaśnienia. Pan Durand w poufnej rozmowie wymienił mi prawdziwe nazwisko, iż jest Teofilem Wiśniowskim i zarazem wspomniał o swej misji, ale tylko w krótkości. Ja zaś nie chcąc być natrętnym nie śmiałem badać o szczegóły... Odtąd przestał być dla mnie zwyczajnym gościem i gdyby sam Kościuszko wstał był z grobu, nie byłby wzbudził we mnie większego szacunku. Teofil Wiśniowski, był średniego wzrostu, krępy i nieco otyły, twarz miał szeroką, czoło wysokie, łysawe, wzrok żywy i przenikliwy, uśmiech smętny a wyraz twarzy pełen uprzejmości, który go czynił nader sympatycznym; nie ośmielał jednak do bliższej poufałości, pomimo ciągłego obcowania z sobą. Rozmowa między nami była rzadko wesołą. Wielkiem już z jego strony było ustępstwem, jeżeli przyjął półuśmiechem dowcip jaki, lub opowiadanie miejscowej anegdoty. Można było czytać w jego sercu, ale nigdy, żadnem słowem nie wyjawił tajemniczej swej misji, ani planów jakie w myśli układał. Pomimo serdecznego stosunku w jakim żyliśmy przez rok z górą, nie było ani razu między nami mowy o świętej sprawie, której się poświęcił. Kilka razy wydalał się za granice Mołdawji, a zawsze ledwo w przeddzień wyjazdu dowiadywałem się o tym jego zamiarze. Tak przywykłem do jego towarzystwa, że dom mój pustym mi się zdawał podczas nieobecności Wiśniowskiego, a każdy powrót jego, był niespodzianką napełniającą urokiem moje domowe ognisko. Wstrzemięźliwości był rzadkiej, a jeżeli czasem zmienił cokolwiek z codziennego trybu życia, było to już z jego strony poświęceniem, które czynił przez wzgląd na wymagania towarzyskiej grzeczności. Z pokoju wychodził dopiero gdy noc zapadła dla użycia powietrza i ruchu. W przededniu, w którym miał wyjechać, tym razem, niestety!... by więcej nie wrócić, był ze mną więcej otwartym.

— Będziemy się starali zdobyć na najwyższy wysiłek — rzekł do mnie. — Wszystko jest przygotowanem do wielkiego ruchu. Jadę jutro, oby mi Bóg dozwolił dożyć dnia, w którym mógłbym pana przyjąć w ukochanej mojej Ojczyźnie, wolnej od więzów.

Na tę wiadomość, serce mi się bolem ścisnęło.

— Czy nie wystawiasz się pan na straszne a może bezowocne niebezpieczeństwo? — rzekłem po chwili milczenia.

— Ah! w tej chwili nie idę na gody, to pewna, ale nie dojdziemy do celu siedząc z założonemi rękami. Czas pokuty minął. Sprawiedliwości Boskiej zadość się już stało, a jeśli na chwilę wstrzyma ona swe chłosty, powetujemy krzywdy nasze... Zbawienie obiecane jest dla nas nagrodą za wytrwałość.

— Nie chciałbym zachwiać ufności pana — odpowiedziałem — ale będę bardzo niespokojnym, myśląc o niebezpieczeństwie na jakie będziesz narażonym; śmierć sama jest niczem, gdy na nas spada jak piorun; ale wpaść w ręce nieprzyjaciół, którzy nam urągają... szydzą z nas... to okropne!

— Ah! Pan wiesz jak się to odbywa — rzekł przerywając mi i robiąc ręką znak na około swej szyi.

Po tej krótkiej rozmowie nastąpiło milczenie.

— Gdy przyjadę do siebie — dodał po chwili — przyszlę panu upominek; mam w mojej majętności małą hutę szkła, wybiorę co uznam za najlepsze i wyszlę niewielką skrzyneczkę z temi wyrobami. Sądzę że to dojdzie pana, zanim burza powstanie i przerwie kommunikacje.

Większą część owej nocy spędziliśmy razem przy herbacie, zamieniając rzadkie pytania i odpowiedzi. Pragnąłem przejąć go złowrogiemi przeczuciami, by go zachwiać w postanowieniach, lecz pomijając głębokie przekonanie, że usiłowania moje byłyby bezskuteczne, potrzebowałbym jeszcze mieć pewne dowody, których mi nie powierzył. W obecności tego człowieka z Plutarcha, święta falanga bohaterów starożytnych i nowożytnych przesuwała się w mojej myśli; zdawało mi się że widzę przed sobą tego, który zamyka pochód wielkiego orszaku... Pojechał!... W miesiąc po jego odjeździe dostałem niewielką paczkę, która zawierała kilka szklanek i parę karafek. Był to ów przyobiecany a tak drogi dla mnie upominek. Starannie przetrząsałem słomę z opakowania, w nadziei znalezienia jakiej objaśniającej kartki, lecz poszukiwania moje były daremne... nic nie znalazłem. Szkła te cenniejsze były dla mnie niż puhary Krezusa. Ciągłe jednak używanie ich stało się fatalnem, nie mogłem przejąć służby mojej czcią jaką miałem dla tych drogocennych relikwij, uważano je za niedobrane do garnituru szkieł czeskich i wyleczono mnie z manji niszcząc i tłukąc jedne po drugich!...

Znajomym jest koniec tego epizodu i śmierć Teofila Wiśniowskiego.

Cześć Jego pamięci!!!...“

Jassy 15. marca r. 1875.

Malgouverne. Profesor Akademji w Jassach.

— Przy obrzędach ślubnych u Greków i Rzymian taniec z pochodniami był jedną z najważniejszych ceremonij. Na cześć hymenu przy zakończeniu uroczystości orszak z pięciu młodzieńców niosących pochodnie odprowadzał narzeczoną do domu pana młodego. Pierwsi chrześcijanie przez długi czas przechowywali ten zwyczaj, tem bardziej że w rzymskich katakombach i w innych mrocznych kryjówkach, kędy przed okrucieństwem prześladowców swoich chronić się musieli, światło pochodni przy obrzędach małżeńskich niezbędnem było. Później surowość duchowieństwa nazwała ten zwyczaj resztkami pogańskiego ducha i starała się go wytępić. Gdy jednak chrześcijaństwo zwycięsko stanęło i z dnia na dzień coraz bardziej rozszerzało się, — powyższy skrupuł zniknął i taniec z pochodniami spotykamy znowu na dworze Konstantyna Wielkiego w Bizancjum. Od tego czasu stał on się przywilejem wyłącznym książąt i dostojników przy obrzędach ich zaślubin, które w średnich wiekach z rycerskiemi igraszkami, turniejami i świetnemi festynami połączone bywały. Koniec takiego festynu stanowił zawsze fantastyczny taniec z pochodniami na cześć rycerza, jego damy i dla zabawy obecnych. Obrzęd ten przy okazji zaślubin przechował się stereotypowo na niektórych dworach, aż do naszych czasów n. p. na dworze berlińskim. Tu, gdy jedna z księżniczek krwi lub najjaśniejsza para się łączy, na zakończenie uroczystości zaślubin, nowożeńcy, w orszaku wszystkich gości przy odgłosie muzyki, wolnym i uroczystym krokiem marszowym okrążają po trzykroć salę; przyczem ministrowie z urzędu obowiązani są nieść płonące pochodnie.

— Nieraz słyszymy w potocznej rozmowie „kastalskie źródło, kastalskie wody“ gdy chodzi o natchnienie lub poezję. Bajeczneż to wody czy rzeczywiste?... Istniejąż one na ziemi, czy tylko w krainie mitów? Kastalja było to źródło w Delfach obok świątyni Apollina, tak nazwane od córki Achelousa, która uciekając przed pogonią boga w nurtach tej krynicy schronienie znalazła. Bożek słońca na pamiątkę udzielił tym wodom własności takiej, że kto pił z nich, daru wieszczenia nabywał. Pytja nim zasiadła na wyrocznym trójnogu, pierwej zawsze kąpała się i piła z tego źródła. Muzy od tej krynicy pozyskały nazwę Kastalides, czyli kastalskie dziewice. Dzisiaj wedle świadectwa podróżników jest to ostatnie jeszcze żywe źródło pośród zwalisk Delfijskich. Wytryska ono z pod stóp Parnasu, ze skał opleciony powojem, spływa w basen ocieniony wielkiemi figowemi drzewy i kilka platanami a ztąd wyrywa się w wąwóz doliny i pędzi w objęcia rzeki Plistus.

Odpowiedzi Redakcji.

Z. D. w... Nie możemy nic znaleźć coby nam odpowiadało... Nie jedną rzecz, mianowicie bajeczki możnaby pomieścić w nowej książce froeblowskiej, która o ile nam wiadomo ma być wkrótce drukiem ogłoszoną. Jeżli więc zgoda — to w takim razie oddamy osobom które się redakcją tej książki zajmują.

P. W. w Krakowie. Autorem rozprawy „O dziedziczności charakteru“ nie jest osoba, o której pan wspominasz, ale p. A. Świętochowski.

S. M. w Kołomyji. Nie w porę.

Treść Nr. 12.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).